



Harlequin® Medical® Duo

Leah Martyn Najlepsze rozwiązanie
Anne Fraser Lekarz z powołania



NR 8 08/11 INDOOS J743526 CENA 19,20 ZŁ/W TYMI 5% VAT

Medical Duo

497

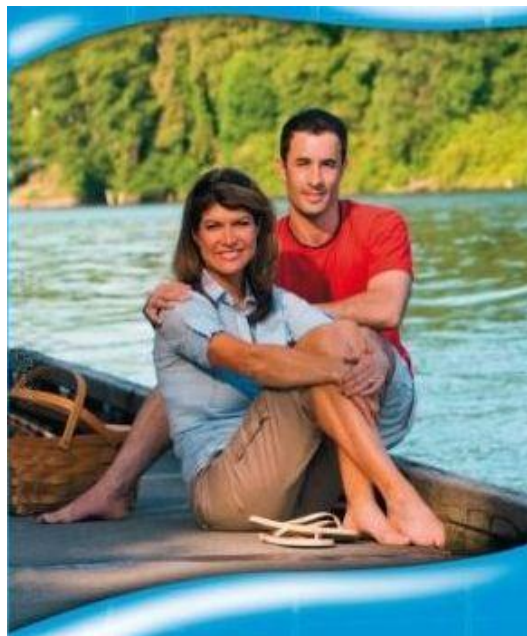
Leah Martyn Najlepsze rozwiązanie
Anne Fraser Lekarz z powołania



ANNE FRASER

LEKARZ Z POWOŁANIA

Tytuł oryginału: Prince Charming of Harley Street



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- O kurczę... - mruknęła Rose, rozglądając się po recepcji. Czegoś takiego jeszcze nie widziała.

Głębokie skórzane fotele, najnowsze wydania ekskluzywnych kolorowych pism oraz wyszukane, wręcz pretensjonalne, bukiety ciętych kwiatów.

Od intensywnego zapachu lilii zakręciło ją w nosie. Kichnęła. O nie, koniec z liliami.

Sięgnęła po chusteczkę ze skrzętnie ukrytego pudełka na biurku, wytarła nos, po czym przystąpiła do lektury notatki przygotowanej przez panią Smythe Jones, recepcjonistkę, o, przepraszam, osobistą asystentkę doktora Cavendisha.

Był to tygodniowy rozkład zajęć doktora. Raczej nieprzeładowany. Przez trzy przedpołudnia przyjmował pacjentów na miejscu, a dwa popołudnia miał zarezerwowane na wizyty domowe. I tyle. Nic ponadto, chyba że pracował jeszcze w jakimś szpitalu, o czym osobista asystentka nie wspomniała.

Być może doktor Cavendish zwija interes albo zamierza przejść na emeryturę. Wyobraziła sobie siwego mężczyznę o arystokratycznych rysach, a może nawet w binoklach.

Oprócz planu zajęć doktora pani Smythe Jones była łaskawa poinformować ją o jego upodobaniach. Między innymi kawa z ekspresu, broń Boże rozpuszczalna, bez cukru, podana w filiżance, która znajduje się w szafce nad zlewem, z herbatnikiem z pełnoziarnistej mąki, bez dodatków, w szafce po lewej od szafki z filiżankami. Pacjentów częstuje się herbatą, wyłącznie sypką, w czajniczku, na tacy, w dolnej szafce po prawej stronie, można też podjąć ich kawą lub butelkowaną wodą, gazowaną lub nie, z lodówki.

Z instrukcji dalej wynikało, że pierwszy pacjent tego dnia, L.S. Hilton, stawi się o dziewiątej trzydzieści. Dawało to Rose sporo czasu na rozejrzenie się po klinice.

Sprzątaczką, która wpuściła ją kilka minut wcześniej, zniknęła jej z oczu, ale gdzieś z oddali dobiegał szum odkurzacza. W klinice doktora Cavendisha były dwa gabinety, każdy z nich większy niż jakikolwiek salon, który Rose widziała, niemal identyczne, wyposażone w obowiązkową leżankę i parawan oraz umywalkę, biurko, dwa fotele i dwuosobową kanapkę pod oknem. Na ścianach wisiały pejzaże, w jednym tradycyjne, w drugim bardzo nowoczesne, niezbyt pasujące do starych mebli.;

Odwróciła się, słysząc dyskretne kasznięcie.: W drzwiach ujrzała mężczyznę pod trzydziestkę, w garniturze i krawacie, w czarnych lśniących butach. Ciemny! blondyn z nieco przydługimi włosami opadającymi na czoło. Miał pociągłą twarz, prosty nos i piwne oczy, ale jej uwagę przyciągnęły jego wargi. Lekko uniesione kąci sugerowały, że często się uśmiechał.

- Och, przepraszam - powiedziała. - Pan zapewne do doktora. Nie słyszałam, kiedy pan wszedł. - Za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć nazwiska pierwszego pacjenta. Tylko tyle, że kojarzyło się ze znaną siecią hoteli.

- Kim pani jest? - zainteresował się nieznajomy lekko zdziwionym tonem.

- Rose Tylor, recepcjonistka... na zastępstwie. - Ruszyła w stronę wyjścia, ale on nawet nie drgnął.

- A Tiggy? - zapytał. - To znaczy pani Smythe Jones.

- Pani Smythe Jones wzięła urlop. Proszę usiąść w poczekalni, zaraz wyjmę pana kartę.

- Mam usiąść? W poczekalni? Moja karta... - Uśmiechnął się szerzej. - Rozumiem. Czy mógłbym prosić o kawę, skoro mam czekać?

- Oczywiście - odparła bez wahania.

Gdy wróciła z kuchni z tacą, zastała go za swoim biurkiem. Rozsiadł się z rękami pod głową, opierając buty na blacie.

- Bardzo pana przepraszam - wycedziła przez zęby. - Umówiliśmy się, że usiądzie pan w poczekalni.

Zaczynał ją denerwować. Zachowywał się, jakby był u siebie. Ale pierwszego dnia nie należy się awanturować. Zależy jej na tej pracy, bo jest bardzo dobrze płatna oraz daje jej możliwość opiekowania się ojcem.

Być może tacy są wszyscy pacjenci gabinetów na Harley Street. Mimo to facet zachowuje się skandalicznie. Gdyby tak teraz wszedł doktor Cavendish i zobaczył, że pozwoliła pacjentowi trzymać nogi na swoim biurku? Na pewno nie byłby zadowolony.

Mężczyzna zerwał się z miejsca, by wziąć od niej tacę. Postawił ją na biurku, po czym omiół wzrokiem samotną filiżankę. Uniósł brwi.

- A pani?

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Nie, dziękuję. - Pospiesznie usiadła za biurkiem, żeby jej nie ubiegł. - Jak się pan nazywa?

- Jonathan. - Podał jej rękę. - Jonathan Cavendish.

- Krewny doktora Cavendisha?

- Doktor Cavendish we własnej osobie - przedstawił się z szerokim uśmiechem.

Rose aż otworzyła usta, ale szybko się opanowała.

- Ale... pan jest młody... - Kretyński tekst.

- Mam dwadzieścia siedem lat. A pani? - Pochylił się nad nią. - Proszę nie mówić! Dwadzieścia pięć?

- Dwadzieścia sześć - mruknęła bez entuzjazmu. On się z niej nabija, peszy ją.
- Rose Taylor - przedstawiła się. - Agencja mnie tu skierowała. Dopóki recepcjonistka nie wróci z wakacji.

- Oj, to chyba nie są wakacje. - On cokolwiek wie swoich pracownikach? - Pojechała do siostry. W piątek dzwoniła do agencji z prośbą o kogoś na zastępstwo. - Ściągnął brwi. - Wiedziałem wcześniej, że ta siostra się rozchorowała, ale wyjechałem na weekend na narty... i nie miałem zasięgu. - Wyjął z kieszeni komórkę. - Nie dostałem od niej żadnego esemesa. Później do niej zadzwonię, po pacjentach. - Zatrzasnął telefon. - Skora to już się wyjaśniło, bierzmy się do roboty. Kto jest pierwszy?

Rose w dalszym ciągu nie mogła oswoić się z myślą, że ma przed sobą lekarza. A gdzie ten starszy pan, wytwór je wyobraźni? Bezskutecznie usiłowała pozbiierać myśli.

- Jest drugi doktor Cavendish - odezwał się niespodziewanie. - Mój stryj, ale on w zeszłym roku odszedł na emeryturę. A ja przejąłem po nim praktykę.

Zmieszana popatrzyła na listę pacjentów.

- Teraz ma pan trzy osoby. - Tylko trzy, niesamowite. I dla każdego po pół godziny! Trzydzieści minut W Edynburgu pacjent mógł mówić o wielkim szczęściu gdy zaganiany personel poświęcił mu dziesięć minut Albo doktor Cavendish jest słaby i nikt nie chce się u niego leczyć, albo się oszczędza. Ale to nie jej sprawa, jak on sobie organizuje pracę. - Po południu dwie wizyty domowe. Tę listę zostawiła mi pani Jones, może jest gdzieś druga.

Omiotła biurko wzrokiem. Nie, oprócz oprawnej w skórę księgi pacjentów żadnych informacji. Zatrzymała spojrzenie na komputerze. Tak, pełna lista pacjentów musi być w komputerze, a to, co napisała pani Jones, to lista dodatkowa. Posłała mu przepaszający uśmiech, po czym włączyła komputer.

- Jak tylko znajdę tę listę, podam panu pozostałe nazwiska.

Znowu się uśmiechnął, tym razem lekko ironicznie.

- Nic tam pani nie znajdzie. Pani Smythe Jones nie ma zaufania do elektroniki. Używa komputera wyłącznie do korespondencji. Lista pacjentów leży przed panią na biurku. - Poprawił perfekcyjnie zawiązany krawat. - Trzy osoby to akurat. - Wyciągnął rękę po księgę. - Jak wejdzie pierwszy pacjent, naciśnie pani ten dzwonek. - Gdy pochylił się nad biurkiem, poczuła zapach bardzo drogiej wody po goleniu. Wyprostował się, po czym wskazał na dębową szafę na dokumenty. - Karty pacjentów są tam. Teraz już panią opuszczę. Za chwilę stawi się nasza pie-

łęgniarka Vicki i wyjaśni pani resztę. -Nie czekając na jej odpowiedź, oddalił się do jednego z gabinetów.

Po chwili zjawiała się sprzątaczką, żeby zabrać tacę.

- O, jego lordowska mość już przyszedł - rzuciła mimochodem. - A ja mam na imię Gladys.

Sprawa komplikowała się z minuty na minutę. Jego lordowska mość? O kim ona mówi? O tym Jonathanie? Jeśli tak, to chyba nie wypada tak go nazywać.

Gladys się roześmiała.

- Kochana, chyba nie wiesz, o kim mówię, tak? O jego lordowskiej mości doktorze Jonathanie Cavendishu.

O kurczę, dostała pracę u arystokraty. Ponieważ odjęło jej mowę, gestem głowy wskazała na drzwi gabinetu.

- Kochana, to ja już lecę. - Gladys zapinała palto. - Do domu. Pielęgniarka zaraz przyjdzie. Do jutra, pa!

Rose nie wiedziała, co myśleć. Gdy w piątek wieczorem zadzwoniła do niej dziewczyna z agencji, tak się ucieszyła z propozycji pracy przez kilka tygodni, że nie zapytała, co to za gabinet.

- Minimum cztery tygodnie, a może pięć. Harley Street. Bardzo proszę, nich pani to weźmie. To nasi nowi klienci i bardzo nam na nich zależy. Prowadzenie sekretariatu i recepcji. Dla osoby z pani doświadczeniem to kaszka z mleczkiem.

Lepiej nie mogła sobie wymarzyć. Od udaru ojca czuła, że powinna wziąć urlop z pracy w Edynburgu, żeby pomóc mamie. Rodzice nie chcieli, by przyjeżdżała do Londynu, ale ona uznała to za konieczne. Na szczęście jej przełożeni wykazali duże zrozumienie i zgodzili się na dłuższy urlop. W najbliższym czasie oceni sytuację i podejmie decyzję, czy powinna wrócić do Londynu na stałe.

Na Harley Street z domu rodziców jechała godzinę dwoma liniami metra, ale ten rodzaj pracy jej odpowiadał. Teraz jednak zaczęła mieć wątpliwości, nie mia-

ła jednak wyboru, bo propozycji pracy tymczasowej było mało, a ona potrzebowała pieniędzy. Niezależnie od zastrzeżeń wobec nowego szefa, ta praca jest idealna.

Westchnęła, sięgając do miseczki na biurku po czekoladkę. Pyszna...

Drzwi wejściowe się otworzyły i do przychodni wkroczyła starsza, starannie uczesana dama z pieskiem pod pachą. Czy to pacjent L.S. Hilton?

- Niedobry! - ćwierkała pani Hilton. - Chciałeś go ugryźć! Jeszcze raz tak zrobisz, to mamusia bardzo się pogniewa. - Nim Rose zdążyła zareagować, piesek znalazł się w jej ramionach. Miał na sobie czerwony kubraczek, a na czubku łebka czerwoną kokardkę. - Znajdzie się czekoladka dla mojego synka? Zawsze robi się nieznośny, jak mu spadnie poziom cukru. - Pani Hilton zsunęła nieco okulary, by przyjrzeć się Rose. - O, chyba się nie znamy. Gdzie się podziała Tiggy? - Rozejrzała się po recepcji.

- Musiała wyjechać na jakiś czas - wyjaśniła Rose. Piesek rzucił jej obojętne spojrzenie. Niemal pewna, że chce ją zaatakować, zgromiła go wzrokiem. Psy jej niestraszne, w jej rodzinnym domu zawsze był jakiś pies. Piesek pani Hilton się uspokoił, a Rose pomyślała o czekoladce. Zrobiło się jej gorąco, gdy się połapała, że miseczka jest pusta. Należało zawczasu odsunąć czekoladki na drugi koniec biurka.

- Mister Chips cię lubi - stwierdziła z aprobatą pani Hilton. - On jest bardzo nieufny wobec obcych. Zwłaszcza jak ma niski cukier.

- Zechce pani chwileczkę poczekać... Zawiadomię doktora, że już pani przyszła. Napije się pani kawy, a może herbaty?

Pani Hilton usadowiła się w fotelu.

- Nie, dziękuję. Kofeina źle mi robi na artretyzm, poza tym... - Krytycznym okiem oszacowała Rose. - Nie wiem, czy pani wie, że kofeina jest zabójcza dla cery. Podobnie jak czekolada. - Spojrzała wymownie na miseczkę. - Ale pani ma zdrową cerę. Większość młodych dziewcząt o tym nie myśli, aż osiągną mój wiek, ale wtedy już nic nie pomoże. Chyba że... - mrugnęła - skalpel dobrego chirurga.

Rose nie była pewna, jak ma interpretować taką uwagę damy z pieskiem. Poczucie się dotknięta czy może uznać ją za komplement, ale widząc wesoły błysk w oczach rozmówczyni, wybrała drugą wersję.

Nacisnęła guzik interkomu, żeby zaanonsować panią Hilton,

- Lady Hilton - poprawił ją. - Już idę.

Wyszedł z gabinetu niemal natychmiast, ale zatrzymał się w drzwiach, z lekkim uśmiechem obserwując, jak Rose z pieskiem na ręce drugą ręką szuka na półce karty pacjentki.

- Witaj. - Podeszedł do pani Hilton. - Cieszę się, że cię widzę.

Starsza pani wyciągnęła szyję, nadstawiając policzek. Pocałował ją w oba.

- Przecież wiesz, że bym do was przyjechał. Oszczędziłabyś sobie wyprawy do miasta.

- I tak musiałam przyjechać na zakupy. Poza tym chciałam porozmawiać o Gilesie... poza domem. On nie wie, że źle się czuję. - Rzuciła mu surowe spojrzenie. - I nie może się dowiedzieć.

- Sophio, wszystko, co tu mówisz, zawsze zostaje między nami - zapewnił ją. Pomógł jej wstać. Mimo że trzymała się dzielnie, Rose zauważyła, że ten ruch sprawił jej ból. Artretyzm albo coś podobnego.

- Zaopiekuj się Mister Chipsem, jak będę w gabinecie - rzekła do niej lady Hilton. - Chips bardzo nie lubi, jak nie zwracam na niego uwagi.

W kontrakcie nie było mowy o opiece nad psami, ale przecież ona nie ma nic do roboty, a Mister Chips w jej ramionach zapadł w sen.

- Proszę się nie niepokoić. Poradzimy sobie. Jeżeli się obudzi i zacznie pani szukać, przyniosę go do gabinetu.

Zanim zjawi się następny pacjent, poszuka sobie jakiegoś zajęcia, bo nie lubi siedzieć beczynnie. Ale z psem na rękach niewiele robi.

Jej wzrok padł na sweter przewieszony przez oparcie krzesła. Jedną ręką uwiła z niego ciepłe gniazdko pod biurkiem, po czym położyła w nim pieska. Otworzył jedno oko, sapnął i znowu zasnął. W porządku, co dalej?

Zapyta Jonathana, czy miałby coś przeciwko temu, żeby przyniosła sobie jakieś podręczniki i między wizytami pacjentów uzupełniała wiedzę. Nie powinno mu to przeszkadzać. Bo jak nie będzie miała nic do roboty, to na pewno zwariuje.

Jej wzrok padł na kolorowe pisma, które przerzucała lady Hilton. Takich eleganckich magazynów Rose nigdy nie miała w rękach. Nawet ich nie przeglądała, nie wspominając o kupowaniu.

Życie prywatne celebrytów, arystokratów oraz gwiazd mało ją interesowało. Bardziej ciekawili ją ci, którzy na przykład zdobyli Everest albo samotnie dotarli do bieguna południowego. Tak, oni zasługiwali na jej uwagę, a nie ci, którzy zawdzięczali sławę temu, że poślubili piłkarza albo ich ojciec był milionerem.

Mimo wszystko zaintrygowana kartkowała pierwsze z brzegu pismo. Gdzieś w połowie natknęła się na zdjęcia celebrytów. Zamarła na moment, bo ze zdjęcia spoglądał na nią Jonathan. Obejmował piękną rudowłosą kobietę o idealnej sylwetce, w sukni, która na pewno kosztowała nie mniej niż roczne zarobki Rose. Jonathan sprawiał wrażenie zadowolonego i zrelaksowanego.

Skupiła na nich wzrok. Jonathan się uśmiechał, mimo to widać było, że nie jest zadowolony z obecności fotografa. „Lord Jonathan Cavendish z przyjaciółką Jasmine Goldsmith, podczas premiery jej filmu „Jedna noc w niebie”.

Lord, a jego przyjaciółka jest gwiazdą filmową! I ten człowiek jest jej szefem! Lekarzem rodzinnym. Skrzywiła się. Takim lekarzom ona nie ufa. Lekarzem zostaje się po to, by ratować życie ludzkie, a nie żeby zarabiać na luksusy. Hm, ale to nie jej sprawa. Ona tu tylko pracuje.

Gdy otworzyły się drzwi wejściowe, upuściła magazyn, jakby ją oparzył. Do środka wpadła krótko ostrzyżona kobieta, wyraźnie przerażona. Bez słowa minęła biurko Rose i pomknęła prosto do toalety dla personelu. Kto to jest? Nie dzwoniła do drzwi, więc ma klucz. I dokładnie wie, gdzie jest toaleta. A może to ta pielęgniarzka Vicki?

Kilka minut później kobieta wróciła do recepcji.

- Przepraszam. - Opadła na fotel. - Zastępujesz Tiggy, tak? Zadzwoiła do mnie w sobotę i powiedziała, że wyjeżdża i że załatwiła zastępstwo. - Westchnęła. - Pewnie masz mnie za skończoną chamkę, bo nawet się nie przywitałam.

Rose podeszła do fotela.

- Dobrze się czujesz?

- Fatalnie. - Kobieta wyciągnęła do niej rękę. - Victoria, dla znajomych Vicki. Wymiotowałam. Całe szczęście, że tu dobiegłam. Głupio by było tak... na ulicy.

- Przyszłaś do pracy? Nie mogłaś wziąć wolnego?

- Wzięłabym, gdybym nie wiedziała, że nie ma Tiggy. Albo gdybym wiedziała, że tak źle się poczuję. Było dobrze, dopóki nie wysiadłam z metra, ale od stacji było coraz gorzej.

- Doktor Cavendish jest teraz z pacjentką. Wywołać go? - Vicki wyglądała okropnie. Znowu zbladła.

- O, nie, przepraszam - jęknęła Vicki, zasłaniając usta i zrywając się do toalety.

Czekając na Vicki, Rose włączyła czajnik, po czym odszukała pudełko z herbatką miętową w nadziei, że to pomoże uspokoić żołądek koleżanki. Nie można puścić jej do domu w takim stanie.

- Podejrzewam, że nie wiesz, co myśleć o tym przybytku - usłyszała za plecami głos Vicki. - Pielęgniarka bardziej chora od pacjentów. Widzę, że lady Hilton znowu przyszła z Mister Chipsem. Miejmy nadzieję, że on znowu nie nasika do donicy. Herbata? Cudownie.

- Wypij kilka łyżków. I usiądź, bo wyglądasz, jakbyś za chwilę miała zemdleć.

Vicki przysiadła przy kuchennym stole.

- Jonathan nie będzie zachwycony - westchnęła. - Poprzednim razem zrobiło się z tego osiem miesięcy. Musiał szukać zastępstwa, ale ta dziewczyna się nie sprawdziła.

Rose doznała olśnienia.

- Jesteś w ciąży? Vicki przytaknęła.

- O matko, znowu? Nie chcę... - jęknęła. - Każdy najmniejszy ruch wywołuje mdłości...

- W poprzedniej ciąży też miałaś niepowściągliwe wymioty?

- Ej, znasz się na rzeczy. Też cię to spotkało? - Vicki była zbyt dobrze wychowana, by powiedzieć to wprost, ale nie kryła zdziwienia, że sekretarka wie takie rzeczy.

- Jestem pielęgniarką - wyjaśniła Rose. - Współczuję ci. Poprzednim razem było bardzo źle?

- Wylądowałam w szpitalu. Praktycznie przez całą ciążę nie pracowałam. - Upiła łyk herbaty. - Nie wiem, jak mam mu to powiedzieć.

- On nie wie o ciąży?

- Jeszcze nie, bo to dopiero ósmy tydzień. Miałam nadzieję, że tym razem obejdzie się bez sensacji.

- Na pewno zrozumie.

- On jest kochany... Wiem, że zrozumie, ale głupio mi, że znowu go zawiodę. Pacjenci się do mnie przyzwyczaili, a ci w podeszłym wieku nie lubią zmian. Położnik mnie pociesza, że do dwunastego tygodnia powinno przejść.

Odgłos otwieranych drzwi był sygnałem, że konsultacja lady Hilton dobiegła końca.

- Zaraz wracam - rzuciła Rose. - A ty tu siedź i na mnie czekaj.

Podniosła Mister Chipsa z posłania pod biurkiem, by podać go lady Hilton. Obudził się, po czym próbował ją polizać, ale w porę znalazł się w objęciach swojej pani.

- Mój synek dobrze się sprawował? - Pani Hilton tuliła go tak serdecznie, jakby rozstali się na kilka dni, a nie kilka minut. Ale gdy pochyliła głowę, by pocałować pieska w łepkę, Rose dostrzegła łzy w jej oczach.

- Przyjadę do was i zbadam Gilesa - obiecał Jonathan. - Wypróbujemy ten nowy lek i zobaczymy, czy coś się zmieni. - Dotknął jej ramienia. - Podejrzewam, że nadchodzące tygodnie nie będą łatwe. Dzwoni do mnie o każdej porze. - Rozejrzał się. - Rose, widziałaś Vicki? Powinna już być.

- Siedzi w kuchni. Obawiam się, że jest chora.

- Zbadam ją. - Wyraźnie się zaniepokoił. - Sophio, do zobaczenia wkrótce. - Pocałował lady Hilton w policzek, a Rose odprowadziła ją do wyjścia, po czym zasiadła za biurkiem, by Jonathan i Vicki mogli swobodnie porozmawiać. Postanowiła sobie przypomnieć, na czym polega choroba Vicki. Niepowściągliwe wymioty bardzo osłabiają, ale nie stanowią zagrożenia życia. Jeżeli jednak Vicki stale będzie miała mdłości, nie jest wykluczone, że hospitalizacja okaże się konieczna.

- Odwiozę Vicki do domu - oznajmił, podtrzymując ramieniem pielęgniarkę. - Myślisz, że do mojego powrotu sobie poradzisz? Za godzinę będę z powrotem.

- Ma pan pacjenta za dziesięć minut - przypomniała mu. - Lord Bletchley.

- Jonathan, dam sobie radę - wtrąciła słabo Vicki. - Pojadę taksówką, a ty zostań. Wiesz, jaki potrafi być lord Bletchley. Wścieknie się, jak będzie musiał czekać.

- Trudno, jego strata - odparł Jonathan bez wahania. - Nie chcę, żebyś jechała taksówką, bo znowu może cię zemdlić. Nie wiadomo, na kogo trafisz. Taksówkarz może cię wyrzucić z auta.

- A może ja bym ją odwiozła pańskim samochodem? - zaproponowała Rose. - Mam ubezpieczenie na każde auto. W recepcji wprowadzie przez jakiś czas nikogo nie będzie, ale lord Bletchley zostanie przyjęty w porę.

Jonathan nieznacznie się uśmiechnął. Nie wolno tak się uśmiechać, pomyślała, to nie w porządku wobec kobiet.

- Wbrew temu, co ci nagadano, potrafię wpuścić tu pacjenta. - Sięgnął do kieszeni po kluczyki. - Odwieszysz Vicki? Ona wie, który jest mój samochód. Ma GPS-a, więc bez trudu dojedziesz do jej domu i tu wrócisz.

Nie zwracając uwagi na protesty pielęgniarki, Rose przyniosła z gabinetu zabiegowego nerkę, po czym wyprowadziła Vicki na dwór.

- Gdzie stoi ten jego samochód?

Gdy Vicki wskazała jej niską sportową maszynę, Rose poczuła, że blednie. Nie bardzo знаła się na samochodach, ale od razu się zorientowała, że cena tego auta na pewno przebija wartość domu jej rodziców. Miała ochotę zawrócić i powiedzieć Jonathanowi, że się rozmyśliła, ale czuła też, że Vicki musi jak najszybciej znaleźć się we własnym łóżku. Jeśli draśnie ten lakier, mały lord Faunt-leroy będzie musiał jakoś to przełknąć.

Na jej szczęście Vicki wiedziała, jak włączyć GPS-a, więc już po chwili przepychały się przez zatłoczony Londyn.

- Nie musisz tak kurczowo ścisnąć kierownicy - odezwała się nagle Vicki.

Oczywiście. Nawet przedszkolak na trzykołowym rowerku jechałby szybciej. Rozluźniła palce. Gdyby jeszcze potrafiła rozluźnić szczęki, mogłaby nawet rozmawiać.

Ale Vicki nie była skora do konwersacji, więc Rose w milczeniu wykonywała polecenia GPS-a, aż jakimś cudem trafiła pod dom Vicki. Teraz tylko należy wrócić.

- Jest ktoś w domu, kto się tobą zajmie? - zapytała, parkując pod samymi drzwiami.

- Tak, mąż. Jest policjantem. Miał nocną służbę, więc teraz śpi jak zabity, ale obudzi się, jak będę go potrzebowała, a córeczka jest w przedszkolu.

- Odprowadzę cię. - Rose pomogła jej wysiąść. Vicki się uśmiechnęła.

- Zawsze jesteś taka poskładana?

- Nic na to nie poradzę, Harcerskie nawyki. Moją słabą stroną są spotkania towarzyskie. Wolę coś robić, niż gadać. Ale i w tej dziedzinie robię postępy. Jak trzeba, to trzeba. Moim drugim wcieleniem jest pielęgniarstwo.

Vicki ściągnęła brwi.

- To dlaczego zatrudniłaś się jako recepcjonistka? O, przepraszam, jako osobista asystentka. Tiggy tak każe się nazywać. Jest kochana, ale głęboko wierzy, że każdy powinien znać swoje miejsce oraz że tytuły są bardzo ważne. Nie tylko na niwie zawodowej.

- Agencja zaproponowała mi pracę recepcjonistki. Już to robiłam, zanim zaczęłam studia pielęgniarские. Teraz zależało mi na pracy przez krótki czas.

Vicki wyjęła z torby klucze i otworzyła drzwi.

- Przepraszam, że ci popsułam pierwszy dzień w naszej klinice. Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłam. Zadzwoń w moim imieniu do agencji, żeby zgłosić zapotrzebowanie na kogoś na moje miejsce?

- Zajmę się tym, a ty idź do łóżka. Do zobaczenia, jak wydobrzejesz.

Vicki wykrzywiła wargi w grymasie.

- Bóg jeden wie, kiedy to będzie. Jonathan błagał, żebym nie wracała, dopóki nie przestanę wymiotować. Jeśli będzie tak jak poprzednim razem, to upłynie kilka miesięcy.

- Porozmawiam z nim, jak tylko wrócę do kliniki. Ale teraz zmykaj do łóżka!

Gdy znalazła się w przychodni, lord Bletchley najwyraźniej już wyszedł, bo Jonathan siedział, opierając buty na jej biurku i przerzucając magazyn, który ona przeglądała wcześniej.

- Durnie, ci *paparazzi* - mruknął pod nosem. - O niczym nie mają pojęcia. - Odłożył pismo i wstał. - Jak Vicki?

- Obiecała, że od razu się położy. Jej mąż pracuje dzisiaj na noc, więc się nią zajmie.

Jonathan przeganiał włosy palcami.

- Obawiam się, że nie zobaczymy Vicki przez co najmniej miesiąc. Oby tylko tyle. Zadzwońisz do agencji? Numer znajdziesz w agendzie. Dowiedz się, czy mają kogoś, kto zastąpi Vicki przez minimum cztery tygodnie.

Kiełkował jej w głowie pewien pomysł, ale najpierw należało go przemyśleć. Jonathan spojrzął na zegarek.

- Będę w gabinecie, muszę załatwić kilka telefonów. Da radę? Nie da rady? - zastanawiała się. Takie rozwiązanie byłoby idealne. Jest pielęgniarką, a przy tym biurku nie ma nic do roboty. Pani Smythe Jones zapowiadała, że wróci może za dwa tygodnie, więc Rose przez ten czas na pewno by sobie poradziła, pełniąc obie funkcje. Nie chce siedzieć beczynnie.

Jej rozmyślania przerwał dzwonek do drzwi. Ku jej zdziwieniu do kliniki wpadła kobieta, praktycznie ciągnąc za sobą kilkunastoletniego chłopaka.

- Richard, skoro już tu jesteśmy, to możemy pójść do lekarza! - mówiła.

Chłopak spojrzął na Rose przez firankę długich włosów, które niemal całkiem zasłaniały mu twarz. Tak klasyczny obraz trądziku widziała tylko w podręcznikach dermatologii. Gdyby nie te zaognione pryszcze, pomyślała, byłby całkiem ładny. Przypomniało się jej, że podobnie jak on pryszczy, ona w tym wieku wstydziała się swojego wzrostu. Uśmiechnęła się, by podnieść go na duchu.

- Richard Pearson? - zapytała. - Proszę usiąść. Powiadomię doktora, że pan już jest.

W odpowiedzi usłyszała niewyraźne mruknięcie. Chłopak usiadł ze zwieszoną głową.

Matka spoglądała na niego bezradnie, ale i z czułością.

- Przepraszam za jego zachowanie - westchnęła. - Nie chciał tu przyjść. - Odwróciła się plecami do syna i zniżyła głos. - Ręce mi opadają. Przestał chodzić do szkoły. Zamyka się w pokoju i gra na komputerze. Byłam już u kilku lekarzy i doktor Cavendish jest moją ostatnią deską ratunku. Znajoma mi powiedziała, że wyleczył z trądziku jej córkę. - Zerknęła za siebie, ale chłopak był pochłonięty komórką. Albo w coś grał, albo pisał esemesa.

- Doktor Cavendish na pewno coś doradzi. - Bardzo na to liczyła, bo na razie nie wykazał się jakąś szczególną wiedzą medyczną. O tak, jest czarujący, ale sam urok osobisty nie uwolni tego biedaka od trądziku.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Przyszedł pan Richard Pearson.

- Już idę. - Piękny głos. Niski, z lekkim szkockim akcentem.

Jonathan podszedł do chłopaka energicznym krokiem i podał mu dłoń.

- Doktor Cavendish - przedstawił się - ale możesz mi mówić po imieniu. Jonathan. Zapraszam do gabinetu.

Richard wstał, spoglądając niechętnie na matkę. Ten gest nie umknął uwadze Jonathana.

- Pani Pearson, proszę tu zostać - rzucił aksamitnym głosem. - Zapraszamy na herbatę, ja tymczasem porozmawiam z Richardem. Potem odpowiem na wszystkie pani pytania.

- Chciałabym być przy tym. Chłopak przestępował z nogi na nogę.

- Richard, co ty na to? Z twojej karty wynika, że skończyłeś siedemnaście lat, więc masz prawo sam wejść do gabinetu, ale jeśli zyczysz sobie, żeby mama ci towarzyszyła, nie mam nic przeciwko temu.

- Wolę sam - wymamrotał Richard, rzucając matce pełne skruchy spojrzenie. - Jestem prawie pełnoletni.

Pani Pearson wyraźnie się wahała, więc Rose dotknęła jej ramienia.

- Zapraszam na herbatę - zaproponowała.

Pani Pearson patrzyła za odchodzącymi, ale w końcu pozwoliła Rose podprowadzić się do jednego z foteli.

- Dziękuję za herbatę. Chcę tylko, żeby ktoś pomógł mojemu dziecku. Jeszcze rok temu miał wielu kolegów i był szczęśliwy. Ale od kiedy zaczęły się te pro-

blemy, zamknął się w sobie. Powtarzam mu, że z czasem to przejdzie, ale to go nie interesuje. On chce zaraz. - Westchnęła. - Boję się, że coś sobie zrobi.

Rose przysiadła obok zrozpaczonej matki.

- Są na to leki, trzeba tylko trafić na właściwy. Jak syn zorientuje się, że możemy mu pomóc, jego nastrój się poprawi. To przykre, że dostał trądziku akurat teraz, kiedy wszystkie hormony w nim szaleją.

- Oby miała pani rację. - Pani Pearson uważnie przyjrzała się Rose. - Pracując w gabinecie lekarskim, zbiera się dużo pożytecznych informacji, prawda?

- Tak, owszem. - Uśmiechnęła się. Nie będzie jej wyjaśniać, że od czterech lat studiuje pielęgniarstwo i niedawno ukończyła kurs dermatologii. Poza tym nie są jej obce katusze związane z trądzikiem młodzieńczym. Osobniki w wieku Richarda nie przyjmują do wiadomości, że ich rówieśnicy też cierpią z powodu niezliczonych kompleksów, z tą tylko różnicą, że potrafią lepiej to ukryć.

Doktor Jonathan Cavendish na pewno nie ma kompleksów. Wątpliwe, by kiedykolwiek choć przez moment miał zastrzeżenia do swojego wyglądu.

Gdy pół godziny później obaj panowie wyszli z gabinetu, Rose z ulgą zauważyła sporą zmianę w chłopaku. Chyba nawet uśmiechnął się do matki.

- Bierz te tabletki przez tydzień, a potem przyjdź na kontrolę. Jeśli nie będzie wyraźnej poprawy, zastanowimy się, co dalej. Tak czy inaczej, uporamy się z tym.

Lekko speszona mina pani Pearson kazała Rose się domyślać, że przestraszyła ją wysokość wynagrodzenia pana doktora za tę poradę i kurację.

- Przy okazji pragnę nadmienić - odezwał się Jonathan - że w cenę dzisiejszej wizyty są wliczone wizyty kontrolne. Dałem też Richardowi list do lekarza pierwszego kontaktu, który wypisze mu receptę na fundusz zdrowia.

Pani Pearson odetchnęła z nieskrywaną ulgą, a Rose ciepłej spojrzała na Jonathana. Zrobił to z takim wdziękiem, że ani pani Pearson, ani jej syn się nie domyślili, że zełgał w kwestii honorarium. W instrukcji zostawionej zastępczyni Tiggy napisała, że sama wszystko policzy, gdy wróci do pracy, ponieważ warunki płatności są różne dla różnych pacjentów i nikt prócz niej się w tym nie połapie.

- Co mu pan przepisał? - zapytała, gdy zostali sami, Uniósł brwi zdziwiony.

- Amoksyliny. Dlaczego pytasz? Zaczerwieniła się. Nie zamierzała informować go, że jest pielęgniarką, ale teraz już nie miała wyjścia.

- Jestem pielęgniarką - oznajmiła. - Niedawno zaliczyłam kurs dermatologii, więc mnie zainteresowało, co mu pan przepisze. Wiem, że retinoidy często dają lepsze efekty niż antybiotyki. Przechylił głowę.

- Jesteś pielęgniarką? To dlaczego pracujesz jako...?

- Z powodów osobistych wzięłam kilkutygodniowy urlop z pracy. Wcześniej, zanim podjęłam studia, pracowałam jako sekretarka w gabinecie lekarskim, więc mam i te kwalifikacje. Wklepując do komputera uwagi lekarzy i je czytając, uznałam, że chcę się dowiedzieć więcej. - Dlaczego ona tak papie? Bo uległa czarowi pana doktora? Ale już nie mogła przestać. - Szef namówił mnie na studia.

- To co tu robisz? Dlaczego nie wzięłaś zastępstwa jako pielęgniarka? W Londynie stale brakuje pielęgniarek.

Omiatał ją spojrzeniem, ale wcale nie dlatego, że mu się spodobała. Taka jak ona jemu się nie spodoba. Nagle pożałowała, że ma na sobie skromny kostiumik i zapiętą pod szyję bluzkę. Mimo to zrobiło się jej tak przyjemnie, że zapomniała, o co ją pytał.

- Rose...

I co narobiła? Teraz musi mu opowiedzieć o sytuacji w domu.

- Rose, słucham... Jestem tego ciekawy. - Nie odrywając od niej wzroku, oparł się o szafę na dokumenty.

- Powiedzmy, że z powodów rodzinnych, i nie drażmy tego tematu - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

To nie jego sprawa. Tak, jest jej pracodawcą, ale nie ma prawa jej przesłuchiwać.

Wpatrywał się w nią, a ona poczuła, że chodzi mu po głowie to samo co jej. Jest pielęgniarką, a on potrzebuje pielęgniarki, i to szybko.

- Załatwiłaś coś z agencją w sprawie zastępstwa?

- Jeszcze tam nie dzwoniłam - przyznała. - Pomyślałam... - A jeśli jej propozycja mu się nie spodoba? W takiej klinice mogą wymagać na przykład szczególnego akcentu, prezencji...

- Że jak jesteś pielęgniarką, to mogłabyś ją zastąpić. Też tak uważam, ale co wtedy z sekretariatem? Nie możesz zajmować się tym i tym.

Mogłaby bez trudu, ale kto będzie siedział za biurkiem, jak ona zajmie się pacjentem?

- Znam kogoś na to miejsce - powiedziała po chwili namysłu. - Dziewczyna jest młoda, ale pojęta. Szuka stałej pracy. Wiem, że godziny nie mają dla niej większego znaczenia i że się nie obrazi, jak pan uzna, że już nie jest potrzebna.

- Super. Zajmiesz się tym? Takie sprawy zawsze brała na siebie Tiggy, bo ja jestem beznadziejny. Znam się tylko na leczeniu. - Zerknął na zegarek. - Pora na lunch! Gdzie zjemy?

Oślupiała, Iść z nim na lunch? Wykluczone! Nie dzisiaj, a nawet nigdy. Tak dziwnie na niego reaguje, że musi się nad tym zastanowić. To sprawdzona metoda. Łatwiej sobie poradzić z problemem, jak się go sobie przemyśli. Poza tym ma ze sobą drugie śniadanie. Nie stać jej na jedzenie w restauracjach.

- Mam kanapki. Zjem tutaj.

Nie nalegał. zaproponował wspólny lunch, bo jest dobrze wychowany, ale bez wątpienia wpadłby w popłoch, gdyby przyjęła zaproszenie. Czuła instynktownie, że w tej dzielnicy Londynu szefowie nie jadają z podwładnymi.

Chwilę później wybiegł na ulicę, gdzie owiało go mroźne powietrze. Uśmiechnął się na myśl o zastępczyni sekretarki. Jest zdecydowanie ładniejsza od pani Smythe Jones. Miał słabość do starszej pani, którą znał od dziecka, ale cieszyła go perspektywa kilku tygodni pracy z Rose.

Rose Tylor go zafrapowała. Źle dopasowany kostium niezbyt szczelnie zakrywał figurę, jakiej pozazdrościłaby jej niejedna jego znajoma. On się zna na kobietach, bo mało kto dostrzegłby taką piękność pod tym kostiumi-kiem i za niemodnymi okularami.

Spodobało mu się też jej podejście do pacjentów. Opiekuńcza, ale nie nachalna. Nawet lady Hilton, zazwyczaj tak zrzedliwa jak jej pupilek, była dla niej miła.

Dawno nie spotkał tak intrygującej istoty, tak niespotykanej mieszanki drażliwości i ukrytego seksapilu. Czy to w ogóle daje się połączyć? Pogwizdując, wszedł do restauracji. Znosi się, że będzie ciekawie.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Odczekała, aż zamkną się za nim drzwi, po czym z westchnieniem opadła na fotel. Jaki on przystojny! A ten uśmiech! Pierwszy raz widzi takiego mężczyznę. Bo gdzie miałyby takich spotkać? Nie w tych kręgach, w których się obraca.

Nie była pewna, co o nim myśli. Imponowali jej mężczyźni ambitni, a przejęcie rodzinnego interesu po to, by mieć łatwe życie, zupełnie nie kojarzyło się jej z ambicją. Nie miała wielu mężczyzn, to prawda, i żaden nie był zachwycający. Za to wszyscy byli odpowiedzialni. Odpowiedzialni i dający poczucie bezpieczeństwa. Tym razem intuicja jej podpowiadała, że Jonathan Cavendish do tej grupy nie należy.

To dobrze, że woli mężczyzn odpowiedzialnych, pomyślała ponuro. Bo szansa, że zainteresuje się nią Jonathan Cavendish, jest mniejsza od zera. Wystarczy popatrzeć na tę rudowłosą seksbombę u jego boku na zdjęciu. Kwintesencja doskonałości... Daleko jej do niej, zwłaszcza jak będzie tak bezmyślnie objadała się czekoladkami.

Już miała zasiać do lunchu, kiedy ktoś nerwowo zapukał do drzwi. Gdy je otworzyła, jej oczom ukazała się kobieta mniej więcej w jej wieku, z dzieckiem na rękach.

- Błagam... Jest tu lekarz? Moja córeczka ma problemy z oddychaniem. Nie wiem, co się stało. Po prostu nagle zaczęła się dusić. Wezwałabym karetkę, ale padła mi komórka. Zobaczyłam, że w tym domu jest lekarz. Proszę nam pomóc.

Kobieta była bliska hysterii. Dziewczynka rzeczywiście miała świszczący oddech, ale jej wargi na szczęście były różowe, a żyły na szyi nieposzerzone. Mała kurczowo ścisnęła pluszowego misia.

Rose położyła kobiecie rękę na ramieniu.

- Zdaję sobie sprawę, że jest pani zdenerwowana - powiedziała - ale musi się pani opanować, bo jeszcze bardziej zaszkodzi pani dziecku. Jak mała ma na imię?

- Sally. - Kobieta wzięła kilka głębokich oddechów. - A ja Margaret.

- Zakrztusiła się czymś? Nawdychała czegoś? Guzik? Fistaszek?

- Nie, nic takiego nie zauważyłam.

- Sally, zjrzyj ci do buzi, dobrze? - Dziewczynka patrzyła na nią przestraszona, ale grzecznie otworzyła usta. Rose niczego tam nie dostrzegła. Gdyby coś tam było, oddech dziecka byłby o wiele głośniejszy. Nagły przypadek, ale bez zagrożenia życia, orzekła Rose.

- Przejdźmy do gabinetu. - Wzięła dziewczynkę na ręce.

- Byłam w kawiarence za rogiem - mówiła Margaret już nieco spokojniejszym głosem - i wszystko było w porządku..

- Były wcześniej takie incydenty? Mała ma astmę, uczulenia?

Rose widziała dwie możliwości: atak astmy, a co za tym idzie - zastosowanie nebulizera, lub ostra reakcja alergiczna wymagająca podania adrenaliny.

- Sally, otwórz buzię jak najszerzej. Poświecę ci latareczką do gardła. Obiecuję, że to nie będzie bolało. - Nie stwierdziła obrzęku. - Może to orzeszek arachidowy? Albo coś, czego wcześniej nie jadła? Margaret pokręciła głową.

- Siedziała przy mnie i piła sok, który sama przygotowałam.

Gdy Rose usłyszała odgłos zamykanych drzwi, odetchnęła z ulgą.

- Jestem w gabinecie! - zawołała. - Może pan tu przyjść?

Błyskawicznie znalazł się w pokoju. Przykucnął obok krzesła, na którym siedziała Margaret z Sally na kolanach. Pogładził dziewczynkę po policzku.

- Cześć, mała. Co się stało? - zapytał. - Trudno ci oddychać?

Rose przez ten czas odszukała nebulizer oraz ampułki z salbutamolem. Gdy Jonathan osłuchiwał Sally, pokazała mu ampułkę, a on przytaknął.

- Ile mała waży? - zwrócił się do matki. - To by nam pomogło ustalić dawkę.

- Nie jestem pewna, ale około dwunastu kilogramów. Nie ważyłam jej ostatnio. Nie było potrzeby.

- Nie szkodzi. Weźmiemy wagę przybliżoną. Rose sięgnęła po pulsoksymetr.

- Założę ci to na paluszek u nogi - wyjaśniła, spoglądając na dziewczynkę. - To też nie będzie bolało. To taka zabaweczka, która pomaga mi w pracy. - Zwróciła się do matki. - To urządzenie monitoruje poziom tlenu. Ile Sally go dostaje.

Dziewczynka w dalszym ciągu oddychała z trudem, ale gdy matka się uspokoiła, jej oddech stał się nieco mniej świszczący.

- Podejrzewam atak astmy - stwierdził Jonathan, biorąc od Rose nebulizer. - Przyłóżę ci to do buzi, a ty staraj się oddychać powoli i głęboko.

Dziewczynka pokręciła głową, a w jej oczach znowu błysnął strach. Co robić?!

Rose wpadła na pomysł. Wyjęła jej z rąk misia i drugim nebulizerem zasłoniła mu pyszczek, przykucnęła obok krzesła, ujęła dziewczynkę pod brodę i zajrzała jej w oczy.

- Sally, popatrz na mnie. To jest taka zabawa. Za każdym razem, kiedy ja zrobię oddech, twój miś też robi oddech. Baw się razem z nami, zgoda?

Poskutkowało. Wpatrzona w Rose i misia Sally zaczęła ją naśladować. Jonathan w milczeniu obserwował tę scenę. Stopniowo oddech dziewczynki się wyrównywał, aż w końcu Jonathan zdjął jej maskę.

- Sally, teraz już powinno być dobrze. - Zwrócił się do matki. - To się wydarzyło po raz pierwszy? - Kobieta przytaknęła. - Może to pani umknęło, ale wydaje mi się, że Sally bardzo się przestraszyła, kiedy poczuła, że ma trudności z oddychaniem. Mimo wszystko jej płuca otrzymywały dostateczną ilość tlenu. Oksymetr pokazał dziewięćdziesiąt osiem procent, co jest całkiem nieźle, nawet wtedy, kiedy była naprawdę przerażona. Mimo to doskonale rozumiem, że obydwie mogłyście spanikować.

Dziewczynka wtuliła się w matkę i zamknęła oczy.

- Poszłyśmy z koleżanką do parku karmić kaczki -powiedziała matka. - Sally była śpiąca, więc koleżanka wzięła ją na ręce i tak mała zasnęła. Potem, jak się obudziła, chciała siusiu, więc skorzystałam z okazji i w tej kafejce przysiadłam na kawę. W parku pokasływała, ale się tym nie przejęłam. Dopiero w kafejce zaczęły się problemy. Pomyślałam, że jej przejdzie, jak wyjdziemy na dwór, ale było coraz gorzej. Zauważyłam tabliczkę lekarza na drzwiach i pomyślałam, że udzieli nam pomocy. - Popatrzyła na Jonathana i Rose. - Bardzo państwu dziękuję.

- Największe podziękowania należą się Rose - odparł Jonathan. Patrzył na nią zdziwiony jak na krzyżówkę, w której zabrakło mu paru wyrazów. - Proszę jak najszybciej zgłosić się do lekarza pierwszego kontaktu. Podejrzewam, że przez jakiś czas Sally powinna regularnie brać leki.

Rose tymczasem zastanawiała się nad słowami Margaret.

- Czy ma pani w domu jakieś zwierzaki?

- Nie, bo ojciec małej jest uczulony na sierść.

- A ta koleżanka, z którą była pani w parku?

- Linda? O tak. Linda ma pięć kotów. Uwielbia koty i ciągle jakiegoś przygarnia.

Rose wymieniła spojrzenie z Jonathanem.

- Zdaje się, że mamy winnego. Prawdopodobnie Sally jest uczulona na kocią sierść. Na ubraniu koleżanki mogły być kocie włosy, więc kiedy zasnęła jej na rękach, mogła nawdychać się alergenów. To tylko domysły, niemniej warto o tym wspomnieć lekarzowi.

Margaret podziękowała za herbatę, ale zgodziła się, by Rose wezwała dla niej taksówkę. Dziesięć minut później ze śpiącym dzieckiem na rękach wsiadała do auta, przez cały czas wylewnie im dziękując.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że je przyjąłem. Zdaję sobie sprawę, że one nie należą do pańskiej klienteli i że gdybym coś popsukała, to pana by pociągnięto do odpowiedzialności.

Przyjrzał się jej uważnie.

- A gdybym powiedział, że nie zgadzam się, żebyś udzielała pomocy ludziom z ulicy, to co byś zrobiła?

- Poleciłabym panu, żeby poszukał pan kogoś innego na miejsce Tiggy - odparła. - Pan doktor żartował, tak? - Zrobiło się jej głupio, że tak pochopnie go oceniała.

- Jasne, że żartuję. Nigdy bym nie zatrudnił osoby, dla której regulaminy są ważniejsze od działania. To nie byłoby w porządku i... - Uśmiechnął się szeroko, a ona poczuła, że nogi się pod nią uginają. - I wyjątkowo nudne. Uważam, że na dzisiaj wystarczy ci wrażeń. Proponuję, żebyś przepisała listy i pojechała do domu.

- Listy już są przepisane, czekają na pański podpis - odparła. Co jego zdaniem robiła, gdy wyszedł na lunch?

- Dopiero druga. Nie mogę wyjść tak wcześnie. Zadumał się.

- Czy wobec tego masz ochotę pojechać ze mną do pacjenta? Z tego, co widziałem, jak zaopiekowałaś się tą kobietą z dzieckiem, nie mam najmniejszych wątpliwości, że bez problemu zastąpisz Vicki. Co ty na to? To jest równoznaczne z wyższym wynagrodzeniem.

Jego uwodzicielskie i zarazem łobuzerskie spojrzenie sprawiło, że zakręciło się jej w głowie. Dawno nie czuła się tak wytrącona z równowagi, ale za nic w świecie nie da tego po sobie poznać. Wyciągnęła do niego rękę.

- Umowa stoi - odparła. - I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żebym poszukała kogoś na moje miejsce, z przyjemnością to zrobię. Podam też panu swój numer, żeby mógł pan sprawdzić moje referencje.

Uścisnął jej dłoń.

- Mam przecucie, że będą pierwsza klasa. Zrobiło się jej podejrzenie ciepło.

- Często zabiera pan rejestratorkę na wizyty domowe? - zapytała.

- Nie. Ale ta dzisiejsza nie będzie łatwa. - Po raz pierwszy odniosła wrażenie, że nagle stracił pewność siebie. - Pojedziemy do Jessamine Goldsmith. - Do tej aktorki, z którą zobaczyła go na zdjęciu. - Powiem tylko tyle, że twoja obecność będzie mi na rękę.

- Pani Goldsmith jest pana przyjaciółką. - Co on sobie wyobraża? Kodeks etyki lekarskiej zakazuje lekarzowi romansować z pacjentem.

- Na jakiej podstawie to mówisz? - Ściągnął brwi, a gdy jej spojrzenie bezwiednie przesunęło się na kolorowy magazyn, z niezadowoleniem pokiwał głową. - Wyjaśnijmy sobie jedno: Jessamine Goldsmith nie jest moją przyjaciółką i nigdy nią nie była. Jest moją pacjentką, a tak się złożyło, że obracamy się w tych samych kręgach.

- W takim razie... na co jeszcze czekamy?

Przebijając się przez zakorkowane ulice Londynu, włączył odtwarzacz. Rose była wielką miłośniczką Debussy'ego, więc siedziała zaszuchana, jednocześnie napawając się zapachem wody Jonathana i skórzanej tapicerki. W takich okolicznościach o wiele przyjemniej jest być pasażerem niż kierowcą, pomyślała.

- Dlaczego jedziemy do domu pani Goldsmith? Jest poważnie chora?

Uśmiechnął się.

- Jestem przekonany, że ma się doskonale. Po prostu woli, żebym zbadał ją w domu. Wielu moich pacjentów tego oczekuje. Mniej się stresują. Ale gdy trzeba ich przebadać za pomocą specjalistycznego sprzętu, przyjeżdżają do mnie. Albo jak robią zakupy w tej samej dzielnicy. Inni dbają o swoją prywatność. - Znowu się uśmiechnął. - Na przykład Jessamine... Media nie dają jej spokoju. Nie tylko jej. Każda wizyta u lekarza staje się pretekstem do plotek.

- A wizyta lekarza w domu nie budzi podejrzeń? ? Parkował pod domem wielkim jak co najmniej hotel, z kapiącą przepychem wiktoriańską fasadą.

- Media nie wiedzą, czy przyjeżdżam z wizytą towarzyską, czy w roli lekarza - zauważył. - Większość moich pacjentów wywodzi się z tej samej co ja warstwy społecznej. Nie masz pojęcia, ilu konsultacji medycznych udzielam podczas różnych przyjęć albo na torze wyścigowym w Ascot.

- To niewskazane - powiedziała. - Nie sądzi pan, że między pacjentem a lekarzem należy zachować dystans

Wysiadł z auta.

- Zapewniam cię, że i tak można.

Nim zapukali, drzwi otworzył im mężczyzna w garniturze.

- Witam pana doktora. Witam panią. Pani Golsmith oczekuje w salonie.

Rose nagle odniosła wrażenie, że cofnęła się w czasie. Miała ochotę się roześmiać, ale puszczając ją przodem, Jonathan zachował kamienną twarz.

Znalazła się w holu tak wielkim, że zmieściłby się tam dom jej rodziców... albo nawet dwa. Marmurowa posadzka, obrazy na ścianach, posągi oraz gigantyczne wazony z wymyślnymi bukietami najdroższych kwiatów.

- Dziękuję, Robercie. - Jonathan ujął Rose pod ramię i poprowadził w stronę schodów - szerokich jak na luksusowym statku wycieczkowym. Wszędzie posągi i złocenia. Zdecydowanie nie w jej guście. Bardziej przemawiał do niej wstrzeмиęźliwy minimalizm.

Rudowłosa piękność przyjęła ich w innym, równie imponującym pomieszczeniu.

- Czekam na ciebie od samego rana. - Z wyciągniętymi ramionami podbiegła do Jonathana.

- Jess... - Pocałował ją w policzek. - Mam jeszcze innych pacjentów. Poznaj Rose Taylor, moją... pielęgniarkę przez kilka następnych tygodni.

Gdy Rose podała jej dłoń, Jessamine omiotła ją spojrzeniem. To, co zobaczyła, najwyraźniej ją zadowoliło, bo się uśmiechnęła tym swoim słynnym filmowym

uśmiechem. Na ułamek sekundy z obrażonej nastolatki przeistoczyła się w piękną kobietę.

Zamiast uścisnąć dłoń Rose, wargami musnęła ją w oba policzki.

- Czego się napijecie? Szampan? Herbata?

- Poprosimy o herbatę - odparł Jonathan zdecydowanym tonem. - Co ci dolega, Jessamine?

- Brzuch. Mam potworne bóle.

- Połóż się, proszę, to cię zbadam.

- Może przez ten czas Rose zejdzie na dół, żeby zorganizować tę herbatę? - zaproponowała Jessamine z wymownym błyskiem w oku.

- Niestety, Rose będzie mi tu potrzebna. - Spojrzeniem dał Rose do zrozumienia, by jej nie przyszło na myśl, że mogłaby ich zostawić. - Konieczne może się okazać pobranie krwi. Jess, nie utrudniaj mi pracy. Jesz jak należy? Już o tym rozmawialiśmy, prawda? Brzuch cię boli, bo jesteś głodna. Pięćset kalorii dziennie to za mało.

- Łatwo ci mówić. - Jess ułożyła wargi w zalotny dzióbek. - Dobrze wiesz, że kamera dodaje kilogramów, a ja mam jutro casting.

Położyła się na kanapie i podciągnęła lekko T-shirt obnażając brzuch. Oczywiście płaski jak deska. Jonathan jednak miał rację, mówiąc, że jest za szczupła, bo widać jej było wszystkie żebra.

- Płuca w porządku, serce też - orzekł. - Rose, proszę zmierz Jessamine ciśnienie.

Trochę za niskie, ale nie stanowiło powodu do niepokoju. Pomimo wychudzenia Jessamine była w bardzo dobrej formie fizycznej. Rose zauważyła jednak, że Jess mówi za szybko i ma rozbiegane oczy.

- Johnny, pamiętasz o przyjęciu na jachcie Wakeleysów? Będą tam wszyscy. Wiem, że już nie jesteś z Felicity, ale nie powinieneś siedzieć sam w domu. Rose, ty też czuj się zaproszona - dodała.

To tylko zdawkowa uprzejmość, pomyślała Rose.

- Jestem pewien, że Rose z przyjemnością do nas dołączy - odezwał się Jonathan, nim zdążyła się odezwać - Przyjdzie ze mną.

Nie takiej reakcji spodziewała się Jessamine. Przyjrzała się Rose spod przykniętych powiek, po czym odwróciła wzrok, zapewne przypomniawszy sobie, że Rose nie stanowi żadnej konkurencji.

Rose chciała zaprotestować. Ma inne plany. Zamierza w weekend pójść do swojego ulubionego pubu, w swoje dzielnicy, na spotkanie z przyjaciółmi, których nie widziała od kilku miesięcy. Mimo to się zamyśliła. Kiedy po raz ostatni była na jakiejś imprezie? I kiedy będzie miała szansę pójść na takie przyjęcie, o jakim mówi Jessamine. Nigdy.

Z drugiej strony, czułaby się tam jak piąte koło u wozu.

Zorientowała się nagle, że Jonathan usiłuje wzrokiem wymóc na niej milczenie, więc się nie odezwała.

Po pobraniu krwi Jonathan wygłosił wykład na temat racjonalnego odżywiania oraz wymógł na pacjentce obietnicę poprawy. Wszyscy troje doskonale wiedzieli, że jest to obietnica bez pokrycia. Nadszedł czas pożegnania.

- Zatem spotkamy się za tydzień - powiedział - ale wcześniej jeszcze do ciebie zajrzę. Uważam, że nie dzieje się nic niedobrego, ale wolę się upewnić. Musisz jeść regularnie. Głodząc się, wyrządzasz sobie krzywdę. - Rzucił jej surowe spojrzenie. - Jess, warto ryzykować zdrowie?

- Johnny, nie krzycz na mnie. Będę grzeczna, przysięgam. Jak przejdę przez ten casting, postaram się trochę przytyć, naprawdę. - Uniosła dwa palce w charakterystycznym geście. - Słowo skauta. - Rzuciła Rose wymowne spojrzenie: drwiące i zarazem wyzywające. Rose nie przypadła jej do gustu, to jasne, ale dlaczego?

Jonathan otworzył drzwi od strony pasażera.

- Odwiozę cię do domu. Pokręciła głową.

- Niedaleko stąd jest stacja metra. Muszę kupić kilka rzeczy. Dzięki, ale nie trzeba.

- Wobec tego podwiozę cię do stacji. Wsiadaj. Po drodze porozmawiamy o Jessamine.

Przystąpiła na tę propozycję.

- Wydawało mi się, że jest pan pewny, że to niestrawność.

- Jestem tego pewny. Przy jej trybie życia taka diagnoza jest wielce prawdopodobna. Ale nie wykluczam innych możliwości. Na wszelki wypadek trzeba przebadać krew.

Być może była to rzeczywiście tylko niestrawność, ale Rose uważała, że Jonathan nie traktuje objawów z należytą powagą. Nie podobała się jej taka swobodna atmosfera, takie bezpośrednie stosunki z pacjentami. Jego podejście jest przesadnie luzackie. Wróciły jej wcześniejsze wątpliwości. Czy on wie, co robi?

Z drugiej strony, badał pacjentów dokładnie, a jego uwagi były bardzo szczegółowe. Może po prostu świat, w którym on się obraca, daleko odbiega od tego, który jest jej bliski.

- Podejrzewa pan coś jeszcze prócz niestrawności? - zapytała.

- Powiedzmy, że nie chcę ryzykować.

Z ulgą przyjęła tę deklarację. Pomijając stronę etyczną współpracy z nierzetelnym lekarzem, zaczęło jej zależeć na tym, by Jonathan wykazywał choć odrobinę szacunku dla swojej profesji.

Serce jej zadrżało, gdy się do niej uśmiechnął.

- Jak ci się podobał pierwszy dzień w nowej pracy? - zagadnął.

- To dla mnie nowość. Ale było ciekawie.

Nie skłamała. Ale tym, co najbardziej ją intrygowało, był siedzący obok mężczyzna. Przyglądała mu się. Pierwszy raz miała do czynienia z takim człowiekiem. Wychowała się w innym środowisku. Jej rodzice ciężko pracowali, by

związać koniec z końcem. Przyjemności zdarzały się rzadko, o przepychu nie było mowy, ale zawsze czuła się kochana.

Zawsze też była pracowita, chociaż mało ambitna. Ukończyła szkołę, ale nie zrobiła matury. Poszła na kurs sekretarek, potem pracowała w prowincjonalnej przychodni. Dopiero wtedy poczuła, że chce czegoś więcej. Tak się złożyło, że jeden z lekarzy dostrzegł jej łatwość kontaktowania się z pacjentami oraz szybkość, z jaką przyswajała sobie terminologię medyczną, i podsunął jej pomysł studiowania medycyny albo pielęgniarstwa.

Zdała w końcu egzaminy maturalne, poszła na studia i cztery lata później obroniła magisterium z pielęgniarstwa na uniwersytecie w Edynburgu.

Ludzie, z którymi się zaprzyjaźniła, dzielali jej zainteresowania: wędrówki, muzykę, teatr oraz operę. Po studiach bez trudu znalazła pracę w Edynburgu.

Wiodła żywot szczęśliwy, wygodny i w pewnym sensie nudny. Odpowiadał jej. Więc dlaczego teraz zaczyna się zastanawiać, czy czegoś nie przegapiła?

ROZDZIAŁ TRZECI

- Już jestem! - zawołała, stawiając w korytarzu torby z zakupami. W metrze jak zwykle panował niemiłosierny ścisk, potem poszła do supermarketu, żeby kupić coś na kolację. Była to dopiero połowa jej podróży.

Od supermarketu do domu było dziesięć minut piechotą, ale z torbami i w szpilkach była to prawdziwa droga przez mękę. Matka wyszła jej na powitanie.

- Skarbie, jak było? - Podniosła jedną z toreb. - Idź do taty. Ja przez ten czas rozpakuję zakupy, a potem przy herbatce opowiesz nam wszystko ze szczegółami.

- Jak on się czuje? Miał dobry dzień?

- Niezły. Zjadł śniadanie i lunch, potem robiliśmy ćwiczenia zalecone przez lekarzy. Teraz jest trochę zmęczony. Zaraz po kolacji położę go spać.

Ojciec jak zwykle siedział w fotelu przy oknie. Serce się jej ścisnęło na widok jego bezwładnego ramienia i opadniętego kącika ust. Na skutek udaru lewa strona jego ciała była sparaliżowana, miał też problemy z mówieniem.

Przed chorobą był energicznym mężczyzną, chodził na wszystkie mecze piłki nożnej, sam grał w krykieta oraz golfa, a teraz był skazany na bezczynność.

Ledwie tolerował pomoc ze strony matki i kategorycznie się nie zgadzał, by pomagała mu córka.

- Cześć, tato, co słychać? Wytropiłeś dzisiaj jakieś podejrzane typy na ulicy? - Pocałowała go w policzek, a on uśmiechnął się krzywo.

- Witaj, dziecinko - wybełkotał. Przysiadła obok i ujęła jego dłoń.

- Tato, nawet sobie nie wyobrażasz, jaki miałam dzień.

Opowiedziała mu o czekoladkach, Mister Chipsie, wizycie w domu Jessamine, ubarwiając każdą z opowieści. Całkiem niepotrzebnie.

- Jaki on jest, ten twój przełożony? - odezwała się matka, stając w drzwiach.

Dopiero niedawno matka przystała na powrót Rose do rodzinnego domu, by opiekować się ojcem. Rodzice byli z niej bardzo dumni, ponieważ była pierwszą osobą w historii rodziny, która zdobyła wyższe wykształcenie, więc nie chcieli, by rezygnowała z kariery zawodowej. Wyobrażali sobie, że za rok, dwa Rose zostanie siostrą przełożoną, mimo że im tłumaczyła, że nie ma już takiej funkcji, ale chyba jej nie uwierzyli.

- Jaki jest doktor Cavendish? - Zawahała się. - Hm, młody, niewiele starszy ode mnie, wysoki, szczupły... I jest synem lorda.

- Niesłychane! Syn lorda. To po co pracuje?

- Klinika należała do jego stryja, który był lekarzem przy dworze królewskim, ale stryj poszedł na emeryturę, więc Jonathan przejął klinikę.

- Jest taki biedny, że musi zarabiać na życie?

- Raczej nie. Jeździ lotusem, ale może to jest auto służbowe? Właściwie nic więcej o nim nie wiem. - Przypomniały się jej jego roześmiane oczy. Jak tu o nim opowiadać, skoro sama nie rozumie swojej reakcji na tego człowieka? - Myślę, że zanosi się na kilka interesujących tygodni. Już nie jestem sekretarką i recepcjonistką, bo zostałam pielęgniarzką oraz przyzwoitką. - Opowiedziała im o Vicki. - Jego pacjenci mieszkają w różnych regionach kraju, a nawet Europy, więc mnie zapytał, czy jestem gotowa z nim podróżować. - Spojrzała na matkę. - To znaczy, że nie pomogę ci tak, jak planowałam. - Zawahała się. - Może powinienam odmówić. Chyba zwariowałam.

Ojciec poklepał ją po ramieniu.

- Nie odmawiaj, jedź. Będę się lepiej czuł, wiedząc, że nie jestem ci przeszkodą.

Przytuliła go. Schudł. Gdzie się podział ten silny ojciec? Zawsze ją wspierał, więc teraz ona pragnęła wspierać jego i matkę. Ale ojca deprymuje utrata niez-

leżności, więc jej obowiązkiem jest zrobić wszystko, by nie pogarszać jego samopoczucia.

- Rose, dzwoniła doktor Fairweather - przypomniała sobie matka. To neurochirurg, do której Rose się zgłosiła po udarze ojca. - Prosiła, żebyś przyszła do niej do szpitala. Nic więcej nie chciała powiedzieć. Dziecko, coś się stało?

Strach ścisnął ją za gardło. Przyczyną udaru ojca okazał się tętniak, więc lekarz zasugerował, że powinna się przebadać, bo taka przypadłość bywa dziedziczna. Doktor Fairweather skierowała ją na rezonans magnetyczny. W piątek. Przez weekend Rose starała się o tym nie myśleć, była przekonana, że nie ma powodu do zmartwienia. Żadnych objawów. Doktor Fairweather zapewne chce ją poinformować, że wszystko jest w normie.

- Mamo, nie martw się, ona chce mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Zaraz do niej zadzwonię.

Jednak gdy lekarka poprosiła ją, by jak najszybciej zapisała się do niej na wizytę, zrozumiała, że nie jest dobrze. Gdyby niczego nie wykryto, lekarka powiedziałaby to przez telefon. Ustaliwszy datę wizyty na koniec tygodnia, odłożyła słuchawkę. Gdy wróciła do salonu, matka rzuciła jej przestraszone spojrzenie.

- Złe wiadomości? - Matka zbladła.

- Nie, mamo, nie - skłamała.

Kolejne dni w klinice były podobne. Przed południem pacjenci przyjeżdżali do Jonathana, po południu Jonathan jeździł do pacjentów.

Część pacjentów rozpoznawała bez trudu, bo widziała ich w telewizji albo w kolorowych magazynach, twarze innych nic jej nie mówiły, chociaż czuła, że powinna ich znać. Jonathan wszystkich traktował z niewymuszonym wdziękiem. Kilka razy miała okazję mu towarzyszyć, za każdym razem poznając coraz bardziej luksusowe siedziby. Przez cały czas starała się nie myśleć o doktor Fairweather, przekonując się, że nie warto martwić się na zapas.

Ale w domu, w zaciszu swojego pokoju, całymi wieczorami surfowała po internecie, szukając informacji na temat tętniaków. Nie natchnęły jej optymizmem.

Zjawiając się rano w klinice, Jonathan czasami wyglądał na zmęczonego, jakby balował pół nocy, ale nigdy nie sprawiał wrażenia skacowanego. Oczywiście w bulwarówkach pojawiały się jego zdjęcia z coraz to inną kobietą u boku. Starła się nimi nie przejmować, tym bardziej że to nie jej sprawa, co on robi po pracy.

Skontaktowała się z Jenny, która wpadła w zachwyty z powodu oferty krótkoterminowego zajęcia.

- Ta beczynność mnie zabija - wyznała. – Wysłałam ze sto podań i nic. Przyda mi się takie doświadczenie. Zwłaszcza jeśli doktorowi Cavendishowi spodoba się moja praca i da mi dobre referencje.

Rose poznała Jenny tego dnia, kiedy podpisała umowę z agencją. Jenny miała dziewiętnaście lat, była świeżo po kursie dla sekretarek i tryskała energią.

- Mogłabyś jakoś uładzić fryzurę? - zasugerowała Rose przez telefon, przypominawszy sobie jej rozczochną głowę. - I wyjąć kolczyki, zwłaszcza te w nosie i wardze? - Zdarzało się, że niektórzy pacjenci też przychodzili z kolczykami, a nawet wytatuowani.

- Nie ma sprawy - odrzekła Jenny. - Obiecuję, że mnie nie poznasz, jak się spotkamy.

Dotrzymała słowa. Stawiła się z włosami ściągniętymi w kitkę, bez kolczyków i w spódniczce krótkiej, ale przyzwoitej. Z zachwytem rozglądała się po recepcji.

- Fajnie tu - orzekła. - A gdzie szlachetnie urodzony doktor Cavendish? Jak mam się do niego zwracać? Wasza Wysokość? Sir?

Rose się roześmiała.

- Chyba wystarczy „doktorze”. Chodź, przedstawię cię. Na szczęście Jenny przypadła Jonathanowi do gustu,

a ponieważ była bystra, wkrótce zasiadła za wielkim biurkiem recepcjonistki.

- Fajny - stwierdziła. - Gdyby nie był taki stary, mogłabym go poderwać.

- Nie jest taki stary - obruszyła się Rose. - Ma dwadzieścia siedem lat.

Spojrzenie Jenny dało jej do zrozumienia, że każdy, kto ma powyżej dwudziestu pięciu lat, należy do kategorii wieku średniego.

- Ale dla ciebie jest w sam raz - stwierdziła Jenny.

- Nie jestem w jego typie - odparła lekko speszona Rose. - Ani on w moim - dodała pośpiesznie.

Jenny przyjrzała się jej krytycznie.

- Wiesz, gdybyś zamieniła okulary na kontakty, uczesała się modniej i włożyła fajne ciuchy, byłabyś całkiem atrakcyjna.

Obelga czy komplement? Dobre sobie, inne ciuchy i inna fryzura. Jenny naglądała się za dużo filmów. Mimo to Rose czuła, że koleżanka nie zamierzała jej obrazić.

- Doceniam twoją... opinię, ale jestem zadowolona ze swojego wyglądu. Lubię praktyczne ubrania. I nie mam ochoty rano i wieczorem dłubać sobie palcem w oku. Poza tym... - Obejrzała się, czy Jonathan ich nie słyszy. - Poza tym nie szukam faceta. A nawet gdybym szukała, to nie byłby nim doktor Cavendish.

- Ale...

- Żadne ale - ucięła Rose. - Zapomnij o tym. Ja tu pracuję. I kropka.

Jednak gdy Jenny zajęła się swoją robotą, Rose zaczęła się zastanawiać nad swoimi słowami. To prawda, że nie rozglądała się za facetem i że gdyby nawet jej na tym bardzo zależało, Jonathan nie jest dla niej ani ona dla niego. Tak, na jego widok serce bije jej szybciej, ale on na pewno nie podchodzi poważnie do życia. A nawet gdyby do siebie pasowali, ona ma ważniejsze sprawy na głowie niż seksowny Jonathan Cavendish.

Pod koniec tygodnia w klinice zjawił się słynny piłkarz w towarzystwie małżonki. Rose czytała kiedyś w metrze reportaż z ich ślubu.

Gdy Jenny podejmowała ich herbatą, Jonathan wezwał Rose do gabinetu.

- Mark i Colette zgłosili się do mnie jakiś czas temu, ponieważ myślą o założeniu rodziny - wyjaśnił. - Zleciłem wtedy pewne badania, a dzisiaj otrzymałem

wyniki. Obawiam się, że nie mam dla nich dobrych wieści. Jedyne wyjście jest zapłodnienie in vitro, chyba że zdecydują się na adopcję. Zamierzam ich skierować do Londyńskiej Kliniki Płodności na dalsze badania. Teraz jednak uważam, że byłoby wskazane, żebyś była przy tej rozmowie. Oczywiście pod warunkiem, że oni wyrażą zgodę.

Przytaknęła. Już nieraz towarzyszyła lekarzom podczas przekazywania pacjentom przykrych wiadomości. Głównie po to, by w przyszłości móc przez telefon wyjaśnić im pewne sprawy, ponieważ nie wszystko dociera do nich za pierwszym razem.

Tych dwoje nie miało nic przeciwko jej obecności. Tryskali radością, nie spodziewając się żadnych problemów. Do chwili, gdy Colette dostrzegła powagę malującą się na obliczu Jonathana.

- O co chodzi? Coś jest nie tak - zaniepokoiła się, a mąż wziął ją za rękę.

Jonathan przysunął się z krzesłem bliżej stolika, przy którym siedzieli.

- Pierwsze badanie krwi Colette wykazało, że jajniki funkcjonują prawidłowo. Mimo to uważam, że badanie należy powtórzyć w klinice płodności. Prawdopodobnie wykonają tam USG jajników dla potwierdzenia wyników badania krwi.

- To znaczy, że nie ma żadnych przeszkód. Będziemy dalej próbować. Nie trzeba nas kierować do specjalistów.

- Moim zdaniem nie ma problemów, jeśli chodzi o Colette - mówił Jonathan spokojnym tonem. - Ale nie należy na to patrzeć jak na problem jednego z partnerów. My, lekarze, staramy się pomóc obojgu.

- Jonathan, przestań kręcić - odezwał się Mark. - Wybraliśmy ciebie, bo wiedzieliśmy, że nie będziesz niczego owijał w bawełnę.

- Problem jest po twojej stronie, Mark - powiedział cicho Jonathan. - W nasieniu, które oddałeś podczas poprzedniej wizyty, było mało ruchliwych plemników. W klinice płodności zechcą powtórzyć to badanie, ale obawiam się, że konieczna będzie mikroiniekcja plemnika. To bardzo skuteczna procedura. Pod jednym warunkiem... - Jonathan patrzył Markowi prosto w oczy. - Że znajdzie się zdrowy plemnik.

Mężczyzna wyglądał, jakby ktoś go zaatakował.

- Chyba żartujesz?! Ja jestem zdrowy. W całym Londynie nie znajdziesz zdrowszego faceta.

- Przykro mi, Mark. Jak już powiedziałem, te badania należy powtórzyć, ale ja nie mam wątpliwości. Dobrze, że zgłosiliście się do mnie teraz, a nie później, bo jakość nasienia będzie się pogarszała.

Colette i Mark siedzieli jak porażeni.

- Kochanie... - Pierwsza odzyskała głos Colette. - Nie mam nic przeciwko in vitro, jeśli to da nam dziecko. Jonathan nie powiedział, że nie możemy mieć dzieci, a to najważniejsze.

Mark jej nie słuchał. W pewnej chwili zerwał się z fotela i wypadł z gabinetu.

Jonathan rzucił Rose porozumiewawcze spojrzenie.

- Zostanę z Colette - powiedziała, a Jonathan wyszedł.

- Jonathan się myli - odezwała się Colette. - To niemożliwe. Mark tego nie akceptuje. Od początku byliśmy pewni, że to ja mam problem.

Rose przysunęła się bliżej. Całym sercem współczuła Colette. Od paru dni i ona zmagala się z zaakceptowaniem perspektywy bezdzietności. Jeśli ma tętniaka, nigdy nie zostanie matką. Cięża byłaby dla niej zbyt ryzykowna. Nigdy nie będzie miała dziecka. Poczula ucisk w gardle, ale skupiła się na pacjentce.

- Z czasem się z tym pogodzi. Jestem tego pewna. Teraz spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Z tego, co mówi Jonathan, nie wynika, że w ogóle nie możecie mieć dziecka, tylko trzeba wam trochę pomóc.

- W ogóle nie braliśmy pod uwagę takich komplikacji. Przyszliśmy do Jonathanu po to, żeby się przygotować do poczęcia. Kwas foliowy, witaminy i te sprawy. Ale kiedy się dowiedział, że staramy się już od roku, zaproponował te badania, tak na wszelki wypadek.

- Metoda in vitro nie jest taka straszna - pocieszała ją Rose. - A jeśli przyjdzie na świat dziecko, to czy to ważne, że po drodze potrzebna była pomoc z zewnątrz?

Colette nie wyglądała na przekonaną.

- Nie mieliśmy wątpliwości, że będziemy mieli rodzinę. Kilkoro dzieci. - Uśmiechnęła się blado. - Podejrzewam, że Markowi marzyła się cała drużyna piłkarska. - Głos jej się łamał. - Boję się, że on się nie zgodzi na in vitro. Może to odebrać jako ujmę dla jego męskości, sama wiesz, jak wrażliwi bywają mężczyźni na tym punkcie. I co my wtedy zrobimy?

- Colette, daj mu trochę czasu. Jestem przekonana, że zgodzi się, jak dotrze do niego, na czym to polega.

- To nie jest takie pewne! - wybuchnęła Colette. - Skąd wiesz, co my czujemy?! Mamy wszystko: jesteśmy szczęśliwi, bogaci, sławni, a tu nagle ktoś odbiera nam nasze marzenia.

Rose serce ścisnęło się z bólu. Colette nie ma pojęcia, że Rose rozumie ją aż za dobrze.

W końcu wrócił Jonathan z Markiem.

- Poszliśmy na przechadzkę po Regent's Parku - wyjaśnił Jonathan. - Mark miał czas wszystko sobie przemyśleć i uznał, że najlepiej będzie, jak oboje udacie się do kliniki płodności. Powieście mi, kiedy macie czas, a ja was umówię na wizytę. Okej?

Colette i Mark pokiwali głowami. Rose patrzyła na nich przepelniona współczuciem. Colette miała rację: na co komu bogactwo i sława, jeśli nie można mieć tego, czego się pragnie całym sercem?

- Uda im się, prawda? - zapytała, gdy wyszli.

- Mam nadzieję. - Przegarnął włosy palcami. - To dla nich szok. Są wyjątkowo sympatyczni. Mark jest bardzo rozsądnym i dobrym facetem. Ona też jest w porządku. Byliby idealnymi rodzicami. Powiedziałem im, że szansa na zapłodnienie in vitro jest nawet większa niż metodą naturalną. Ale pod jednym warunkiem: że embriolog znajdzie zdrowy plemnik. - Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się

przykrych myśli. Sięgnął po bilety, które Mark zostawił na stoliku. - Chcesz pójść na mecz piłki nożnej? Mark przyniósł bilety na sobotni mecz Arsenalu. Sam bym poszedł, ale jadę na mecz krykieta. Lubię piłkę, ale w porównaniu z krykietem...

- Nie, dzięki. - Ze smutkiem pomyślała o ojcu. - Ale bardzo chciałabym pójść. Zanim wyprowadziłam się z domu, chodziłam z ojcem na wszystkie mecze. Bardzo mu brakuje tych wypadów. Od zawsze jest fanem Arsenalu.

- To jemu daj te bilety. Loża. Wszystko stamtąd widać. Taki mecz bardzo podniósłby go na duchu. Ale nic z tego. Bo ani ona, ani mama nie są w stanie znieść go ze schodów.

- Szkoda, że tego nie zobaczy - szepnęła.

- To go tam zabierz - nalegał. Odwróciła głowę, żeby nie zauważył jej łez.

- Dwa tygodnie temu miał udar. Ma sparaliżowaną lewą stronę ciała. Z nikim się nie spotyka. Godność mu nie pozwala pokazywać się ludziom w tym stanie. Dopóki nie kupię nowego auta, w którym zmieści się wózek, jest skazany na siedzenie w domu.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym się uśmiechnął.

- Zapewne nie wiesz, że motto mojego rodu brzmi: dla chcącego nie ma nic trudnego. Słowa są inne, ale znaczenie to samo.

Nim go poprosiła, żeby to wyjaśnił, zjawił się kolejny pacjent, więc Jonathan zaprosił go do gabinetu.

- Bardzo mi przykro - rzekła doktor Fairweather. - Wolałabym przekazywać pani lepsze wiadomości.

Rose poczuła, że cały pokój się kołysze. Zrobiło się jej słabo. Ziścił się najczarniejszy scenariusz. Ma tętniaka. Zebrała się w sobie, wyprostowała i spojrzała lekarce w oczy.

- Jakie mam opcje?

- Dwie. Albo nic pani nie robi i decyduje się żyć z tętniakiem...
- Z czym to się wiąże? Pani doktor, proszę mi to jasno powiedzieć. Muszę wiedzieć, co mnie czeka.
- Możliwe, że do śmierci tętniak nie pęknie, ale jeśli pęknie... tego nie da się przewidzieć, może dojść do udaru, utraty mowy, paraliżu kończyn dolnych albo...
- Natychmiastowego zgonu. Nagle i bez ostrzeżenia. Hm, to jest jakieś wyjście... A ta druga opcja?
- Może się pani poddać operacji usunięcia tętniaka. Niestety, łączy się z tym poważne ryzyko.
- Jakież? - Splotła palce, by ukryć drżenie rąk. Pomyślała o rodzicach. Mają tylko ją, więc ojciec nigdy by sobie nie wybaczył, że przekazał jej te wadliwe geny. To przez tętniaka dostał udaru. Jak długo żył z tą bombą zegarową pod czaszką? A ile ona pożyje?
- Zgon, udar - mówiła lekarka. - Niestety, komplikacje związane z operacją niewiele się różnią od tych wywołanych pęknięciem tętniaka. Dużo zależy od umiejscowienia tętniaka, a w pani przypadku operacja jest bardziej ryzykowna niż w innych.
- Trudno nazwać to wyborem - prychnęła Rose. Ale, cóż, sama prosiła lekarzkę o szczerść.
- Gdyby z kolei udało nam się usunąć go operacyjnie, miałyby pani szansę na długie udane życie, macierzyństwo i spełnienie marzeń.
- A jeśli z tej szansy nie skorzystam? Co wtedy? - Znała odpowiedź, ale chciała ją usłyszeć z ust specjalisty. Może nie do końca zrozumiała informacje wyczytane w internecie.
- No cóż. Cięża wiązałaby się z ogromnym ryzykiem... Pozostałe elementy ryzyka są takie same. Ale nie musi pani decydować w tej chwili. Proszę najpierw porozmawiać z rodziną oraz partnerem, przemyśleć dogłębnie obydwa rozwiązania. I za długo nie zwlekać. Jeśli zdecyduje się pani na operację, im prędzej się jej pani podda, tym lepiej.

Dziesięć minut później Rose opuściła szpital. Mimo że był to początek wiosny, wiał mroźny wiatr. Owinąwszy się ciasno płaszczem, opadła na pobliską ławkę, by dać upust łzom powstrzymywanym od trzydziestu minut. Może umrzeć. Jutro, za dziesięć lat, może za dwadzieścia. Doktor Fairweather przyznała, że nikt tego nie wie. Jak żyć ze świadomością, że każda minuta może okazać się ostatnia?

Głośno wytarła nos. Gdzieś za jej plecami zapłakało dziecko. Dawniej nawet nie przyszłoby jej do głowy, że mogłaby nie mieć dzieci. Ze już nigdy nie wyjdzie na spacer w deszczu, nie zobaczy zachodu słońca.

Co powiedzieć rodzicom? Nic. Jeszcze nie teraz. Na razie wystarczą im problemy związane z udarem ojca.

Koniec płaczu, koniec użalania się nad sobą. Zrobi to, co zaleciła doktor Fairweather: zastanowi się. I przez ten czas będzie żyła tak, jakby to miał być jej ostatni dzień. Nie będzie unikać ludzi, nie będzie sobie niczego odmawiać... Od tej chwili będzie korzystać z życia.

Po wielu bezsennych nocach zdecydowała, że nie podda się operacji. Bo jak się nie uda, to skończy jak ojciec albo gorzej. Jak matka sobie poradzi z dwójkiem niepełnosprawnych?

W mroku nocy układała w głowie listę tego, co chciałaby zrobić, zanim... hm, zanim będzie za późno. Przy pięćdziesiątej pozycji zrezygnowała i skreśliła całą listę. Zamiast tego obiecała sobie żyć pełnią życia, korzystając ze wszystkich nadarzających się okazji. Czowała się zdrowa, a życie wydało się jej bezcenne i pełne obietnic.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego dnia, gdy wiosenne słońce wyszło zza chmur, zapytała Jonathana, czy nie ma nic przeciwko temu, by zrobiła sobie nieco dłuższą przerwę na lunch.

- Mam ochotę zjeść w parku - powiedziała. - Dzień jest taki piękny... Przyda mi się odetchnąć świeżym powietrzem. Przez tę godzinę Jenny nie powinna mieć żadnych problemów.

- Doskonały pomysł - odparł - pójdę z tobą. Po drodze są delikatesy i tam kupię sobie coś do jedzenia. Odpocznę od posiłków, które serwują w moim klubie. Przypominają mi obiady w internacie.

Zaskoczył ją, ale nie mogła mu zabronić.

- Mogę się podzielić. Mama się uparła, żeby przygotowywać mi lunch i robi go tyle, że wystarczyłoby dla całej armii. Pewnie uważa, że jem za mało. - Roześmiała się. - Jem dużo, ale nie tyję.

Gdy omiótł ją wzrokiem, dokładniej otuliła się swetrem. Co ją podkusiło, żeby to powiedzieć? A co do dzielenia się lunchem, to wątpliwe, by przepadał za kanapkami z jajkiem i rzeżuchą. Tacy jak on preferują kawior.

- Jeśli uważasz, że możesz się podzielić, to chodźmy. Po drodze kupimy sobie kawę.

Przysiedli na ławce nad jeziorkiem. Ścieżką spacerowały kobiety z wózkami, czasami przebiegł amator joggingu. Podała mu kanapkę, po czym wystawiła twarz do słońca.

- Od dawna mieszkasz w Londynie? - zagadnął ją.

- Tu się wychowałam. Od kiedy przyszłam na świat, rodzice mieszkają w tym samym domu. Wyjechałam do Edynburga dopiero na studia. Mam tam ciotkę, która mnie przygarnęła, co bardzo pomogło mi finansowo. A ty?

- Wiele lat spędziłem w internacie w Gordonstoun. Miałem sześć lat, jak ojciec mnie tam umieścił. Medycynę studiowałem w Cambridge.

Wiedziała, że Gordonstoun to ekskluzywna szkoła na północy Szkocji, do której najbogatsi wysyłają swoje dzieci. Słyszała też, że panuje tam bardzo surowa dyscyplina.

- To tam, gdzie uczył się książę Karol?

- Tak. Ale dużo przede mną.

- Wyobrażam sobie, jakie to okropne znaleźć się ; w internacie w tak młodym wieku. Nie tęskniłeś za domem?

Rzucił jej zdziwione spojrzenie. Jakże on ma piękne oczy, pomyślała. Takie, które widzą, co dzieje się w jej . duszy.

- Wyobraź sobie, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Podejrzewam, że pierwsze lata nie były łatwe. Na pewno tęskniłem, ale wszyscy moi koledzy byli w takiej samej sytuacji. Poza tym mieliśmy ferie i wakacje. Mój ojciec dużo podróżował, więc wolny czas najczęściej spędzałem u kolegów. - Odwrócił wzrok, jakby chciał uwolnić się od tych wspomnień.

- Nie potrafiłabym dziecka wysłać do internatu, zwłaszcza takiego małego - powiedziała w zadumie. - Twoi rodzice musieli mieć jakieś powody... Ty byś wysłał?

Milczał ponuro, a jej zrobiło się głupio. Kto dał jej prawo wypytywać go o sprawy rodzinne?

- Swoje dziecko? Nigdy o tym nie myślałem. Nie brałem pod uwagę posiadania dziecka. I chyba się do tego nie nadaję. To wymaga poświęceń. To nie dla mnie. - Uśmiechnął się. - Życie ma do zaoferowania zbyt wiele, żeby koncentrować się na jednym jego aspekcie.

Przyglądała mu się. Gdyby spotkał odpowiednią kobietę, zmieniłby zdanie, pomyślała. Albo nie. Trudno jej było sobie wyobrazić, by potrafił zrezygnować z dotychczasowego stylu życia na rzecz ograniczeń wynikających nieuchronnie z posiadania rodziny.

- Myślę, że moja mama, gdyby to od niej zależało, na pewno nie oddałaby mnie do internatu - odezwał się. - Umarła, kiedy miałem pięć lat, a ojciec zawiózł mnie do Gordonstoun niedługo po jej pogrzebie.

Ta informacja nią wstrząsnęła. Wyobraziła sobie małego Jonathana w krótkich spodenkach, który stojąc sam przed budynkiem szkoły, patrzy za odjeżdżającym samochodem ojca. Niemal do bólu współczuła temu dziecku. Co to za ojciec? Nie chciałyby go spotkać.

Nic dziwnego, że Jonathan nie wierzy w szczęście, jakie daje rodzicielstwo. Los bywa przewrotny: Jonathan nie chce mieć dzieci, chociaż zapewne może je mieć, ona rozpaczliwie ich pragnie, a na pewno ich nie urodzi. Gdyby je miała, trzymałaby je przy sobie. Zrobiło się jej smutno. Westchnęła. Nie ma sensu o tym myśleć.

- To bardzo przykre. Wyobrażam sobie, jak ci było ciężko. Nie dość, że straciłaś matkę, to wysłano cię do internatu.

- Chyba każdy robi coś, bo musi. Powinność jest pojęciem uważanym za przestarzałe, ale czuję, że nieobce także tobie. Przyjechałaś do Londynu, żeby opiekować się ojcem, mimo że w Edynburgu już ułożyłaś sobie życie/

- Tak, czasami musimy robić to, co należy, a nie to, na co mamy ochotę. Rodzice mnie potrzebowali - wzruszyła ramionami - więc przyjechałam. Moje życie w Edynburgu może poczekać. - Jeśli jeszcze zostało jej trochę życia.

- Nie masz chłopaka?

- Nie na poważnie. - Chętnie zmieniałaby temat, by nie myśleć o przyszłości. - Dlaczego wybrałaś medycynę? - zapytała szczerze zaintrygowana.

- Stryj pełnił funkcję lekarza przy dworze królewskim. Często opowiadał o przypadkach, z którymi się zetknął, pracując w szpitalu, a ja chętnie go słuchałam. I chyba od dziecka chciałem zostać lekarzem. Czuję, że muszę coś zrobić ze swoim życiem. Ojciec miał nadzieję, że przejmę jego interesy, ale to nie dla mnie.

- Ale klinika przy Harley Street... - Nie potrafiła ukryć dezaprobaty.

- Stryj ją założył. Ludzie lubią się leczyć u kogoś, kto dbał o zdrowie miłościwie nam panującej. Nie ma lepszej rekomendacji. Zamierzałem otworzyć praktykę w innej dzielnicy, ale stryj się rozchorował. O, chyba znowu kłania się ta powinność. - Upił łyk kawy. - Nie mogłem sprawić mu zawodu.

- Nie brakuje ci kontaktu z prawdziwą medycyną? Zerknął na nią lekko rozba-
wiony.

- Rose, nawet bogaci i sławni chorują. Błękitna krew ani majątek nie chronią przed problemami zdrowotnymi. Przypomnij sobie choćby Marka.

Tak, choroba nie wybiera. Mimo że słońce przyjemnie grzało, przeszył ją zimny dreszcz. Jonathan popatrzył na zegarek.

- No właśnie, jestem dzisiaj umówiony na wizytę u lorda Hiltona. Pamiętasz, jego żona nas odwiedziła tego dnia, kiedy zaczęłaś u nas pracować. Ona cierpi na artretyzm, on ma raka w ostatnim stadium. Powinien być w szpitalu, ale kategorycznie odmówił. Powiada, że chce umrzeć w domu, w którym spędził całe życie. - Zawahał się. - Nie zechciałabyś mi towarzyszyć? O ile dobrze pamiętam, spodobałaś się lady Hilton.

- Jeśli będę ci potrzebna, to oczywiście, pojedę. Nie wiedziała jednak, że lord i lady Hilton mieszkają

sto dwadzieścia kilometrów od Londynu oraz że przyślą po Jonathana prywatny śmigłowiec. Lądowisko znajdowało się dziesięć minut drogi od kliniki.

Jeszcze nigdy nie leciała śmigłowcem, a co dopiero wyposażonym w skórzane fotele dla pasażerów.

- Nie uprzedziłeś mnie, że polecimy śmigłowcem.

- Bo nie pytałaś. Połowa moich pacjentów mieszka poza Londynem. Czasami przysyłają po mnie śmigłowiec. Nieważne, gdzie to jest.

- Nie korzystają z miejscowych lekarzy? To chyba lepsze.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Rose, jeszcze dużo musisz się nauczyć. Moi pacjenci są tak bogaci, że nawet nie przychodzi im do głowy, że mogliby nie wysłać samolotu po swojego osobistego lekarza, tak jak jest dla nich nie do pomyślenia, żeby go nie wysłać po swojego nadwornego fryzjera czy stylistę. - Wzruszył ramionami. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby do nich lecieć. Większość z nich znam od dziecka.

Znalazła się w innym świecie, w którym obowiązywały całkiem inne reguły. Ale to jej praca. Nie ma prawa niczego oceniać dopóty, dopóki otrzymuje zapłatę i pacjentom Jonathana nie dzieje się nic złego. Poza tym ciekawie jest znaleźć się w tym innym świecie, choćby tylko na chwilę.

Przypomniała sobie swoją obietnicę czerpania radości z każdego dnia. Uznała, że lepiej nie zgłębiać, do jakiego stopnia źródłem tej radości są nowe doświadczenia, a do jakiego towarzystwo siedzącego obok mężczyzny.

Pod nimi Tamiza przecinała miasto na dwie części. Widziała pałac Buckingham, Tower oraz powoli sunące kapsuły Koła Milenijnego.

- Byłaś już tam? - zapytał, wskazując na jedną z większych atrakcji turystycznych Londynu. - Głupie pytanie, jasne, że byłaś.

- Wcale nie. Nie miałam czasu. Kiedyś się wybiorę. - To kolejny punkt na jej liście. - A ty byłeś?

- Raz albo dwa. - Uśmiechnął się. - Za kilka tygodni znajomy wydaje tam przyjęcie. Musisz przyjść. - To już drugie zaproszenie, ale podyktowane wyłącznie dobrym wychowaniem. Gdyby je przyjęła, Jonathan prawdopodobnie wpadłby w przerażenie.

Wkrótce Londyn został za nimi. Jakiś czas później śmigłowiec zawisnął nad rozległą budowlą, po czym u-siadł w czymś, co było ogrodem, ale gdzie indziej nazywano by to parkiem.

- Ojej... - szepnęła, wyskakując ze śmigłowca. - Takie rezydencje widziałam tylko w kinie. Ile osób tu mieszka?

- Lord oraz lady Hilton. Ich synowie urządzili się w Londynie. Odwiedzają ich w wolnych chwilach.

Szedł ku nim mężczyzna o wyglądzie kamerdynera. Czując się jak na planie filmowym, Rose z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

- Witam państwa. Lord i lady Hilton oczekują państwa. - Zwrócił się do Rose.
- Kogo mam zaanonsować?

- Goodall, to jest pani Rose Taylor. Panie już miały przyjemność się poznać.

- Lord Hilton jest w swoim pokoju, ale zanim pan do niego pójdzie, lady Hilton chciałaby zamienić z panem kilka słów.

Idąc w stronę wejścia, Jonathan gawędził z kamerdynerem, a Rose podziwiała ogród francuski ze starannie uformowanymi żywopłotami i rabatami. Utrzymanie takiego ogrodu wymaga armii ogrodników, pomyślała.

Goodall zaprowadził ich do przestronnego salonu urządzonego elegancko, a jednocześnie przytulnie. Okno od sufitu do podłogi wychodziło na ogród. W kominku płonął ogień. Było tam tak gorąco, że niemal nie było czym oddychać.

Sophia Hilton siedziała w fotelu przy oknie. Mimo że w pokoju panowała przesadnie wysoka temperatura, Sophia była blada i przybyło jej zmarszczek. Ubrana była w grube pończochy oraz tweedową spódnicę. Gdy podawała dłoń Jonathanowi, Rose zauważyła drżenie jej ręki. Zorientowała się, że ma przed sobą kobietę, która żyje w ogromnym stresie, mimo że stara się tego nie okazywać.

Jonathan musnął wargami jej policzek.

- Sophio, jak się czujesz? A lord Hilton?

- Witaj, kochany. Cieszę się, że cię widzę. Rose, jaka miła niespodzianka! Wiem od Jonathan, że zastępujesz Vicki. - Wargi lekko jej zadrżały. - Z Gilesem źle.

Jonathan przysiadł na krześle blisko lady Hilton, a Rose na kanapie naprzeciwko.

- Powiedz mi, co się dzieje - poprosił.

- Niknie w oczach. Prawie nic nie je. Mówi, że nie ma apetytu. Wstaje na godzinę, dwie, ale na więcej nie ma siły. - Zniżyła głos do szeptu. - Boję się, że odchodzi.

- W dalszym ciągu oboje nie wyrażacie zgody na kolejną chemioterapię? Już po południu Giles mógłby znaleźć się w szpitalu.

Lady Hilton energicznie pokręciła głową.

- Giles nie chce o tym słyszeć, a ja obiecałam, że uszanuję jego wolę, więc nawet nie będę go przekonywać. Jest za słaby, żeby się spierać i dlatego prosił, żebym z tobą porozmawiała, zanim do niego pójdziesz.

- Chemia mogłaby mu pomóc.

- A przedłuży mu życie? Jonathan patrzył jej prosto w oczy.

- Nie będę kłamał. Może trochę przedłuży, złagodzi objawy, ale ostateczny rezultat będzie taki sam.

- Zaraz po chemii poczuje się znacznie gorzej, prawda?

- Nie zareagował dobrze na poprzednie chemie. Tak, sądzę, że czułby się gorzej niż w tej chwili.

- Zatem od naszej ostatniej rozmowy nic się nie zmieniło. - Westchnęła. - Tylko to, że ta chwila jest coraz bliżej.

- Czy rozważyłaś możliwość zatrudnienia pielęgniarek? Pomyślałem, że może Rose uda się was do tego przekonać. Rose wcześniej pracowała w przychodni lekarza rodzinnego.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - odezwała się Rose - dobrze by było, gdybym mogła porozmawiać z lordem Hiltonem, zanim cokolwiek pani doradzę. Doktor Cavendish ma rację, jest kilka sposobów na to, żeby pani małżonek został w domu oraz żeby otrzymali państwo należyłą pomoc.

- Ależ proszę. - Lady Hilton wstała z fotela. - Zaprowadzę was na górę.

Pacjent siedział przy oknie z kocem na kolanach, na stoliku obok filiżanki z niewypitą herbatą leżała książka. Siedział z zamkniętymi oczami, a jego wycieńczona twarz była blada jak płótno. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jego dni są policzone.

Żona dotknęła jego ramienia.

- Kochanie, Jonathan i jego pielęgniarka przyszli cię odwiedzić.

Gdy Lord Hilton uniósł powieki, lady Hilton wpatrywała się w niego z bezgraniczną czułością. Smutek ścisnął Rose za serce.

- Dzień dobry, drogi chłopcze, co słychać? Co w domu?

- Ojciec serdecznie cię pozdrawia. - Jonathan mierzył mu puls.

- W dalszym ciągu nie myślisz o ożenku? To już chyba czas?

Jonathan się roześmiał.

- Raczej nie. Nie spotkałem jeszcze takiej szalonej kobiety, która by mnie ze-
chciała.

- A ta tu dziewczyna?

Rose drgnęła. Chyba to nie jest aluzja, że mogłaby zostać żoną Jonathana. Ten biedak bredzi.

- Ta dziewczyna, jak to ująłeś, jest pielęgniarką w mojej klinice. Victoria jest w ciąży i, niestety, znowu bardzo źle to znosi, więc była zmuszona wziąć zwolnienie. Rose ją zastępuje.

Podeszła bliżej, by lepiej ją widział.

- Doktor Cavendish uznał, że mam kwalifikacje, żeby pańskie życie uczynić bardziej znośnym... albo żebym zaproponowała pewne rozwiązania.

Uważnie obserwowowała pacjenta w trakcie badania: jak się rusza i jak wielki odczuwa ból.

- Panowie są zajęci - zwróciła się do lady Hilton. - Proponuję, żebyśmy chwilę porozmawiały. Choćby o tym, z jakich form pomocy państwo teraz korzystają.

Gdy wróciły do salonu, Rose ponownie poruszyła temat opieki pielęgniarstwa w domu pacjenta.

- Nie chcę, żeby zajmował się nim ktoś obcy - obruszyła się lady Hilton.

- Nawet w nocy? Przydałby się ktoś, kto by czuwał przy nim przez całą noc, żeby pani mogła się wyspać.

- Mamy Goodalla - odparła lady Hilton. - On może się nim zająć. Pomaga mi przy goleniu i myciu. Jest z moim mężem od trzydziestu lat i zna go doskonale.

W tym stadium choroby pomoc zaufanego kamerdynera na pewno jest mniej stresująca niż kogoś obcego.

- Wiem, że doktor Cavendish zamierza zaproponować pompę morfinową w celu uśmierzania bólu. Przystałaby pani na to? Wiązałoby się to z wizytą pielęgniarki, co najmniej co drugi dzień. Ale to chyba by państwu nie przeszkadzało?

Lady Hilton gwałtownie zamrugnęła.

- Dlaczego Victoria akurat teraz musi chorować?! Och, przepraszam, straszna ze mnie egoistka. Przecież jak jest w ciąży, to musi o siebie dbać. Ale Giles ją zna. Poleciliby Goodallowi, żeby codziennie ją tu przywoził z miasta.

- Jestem pewna, że w tym rejonie są dobre pielęgniarki, które chętnie się tego podejmą.

- Ale najpierw trzeba z nimi przeprowadzić wywiady, a to trwa. A my mamy mało czasu. - W jej spojrzeniu Rose dostrzegła iskierkę nadziei, która natychmiast ustąpiła miejsca rezygnacji. - Moja droga, nie oszukujmy się. Ja to wiem i Giles to wie. - Zawahała się. - A ty byś nie mogła? Już cię zna i chyba mu się spodobałaś. Jonathan by cię tu nie przywiózł, gdyby nie miał o tobie jak najlepszej opinii. Ktoś mógłby codziennie cię tu wozić. Proszę, zgódź się.

Rose współczuła jej całym sercem, ale wiedziała, że jej propozycja jest nie do zrealizowania. Gdy szukała słów, by jak najdelikatniej wyprowadzić ją z błędu, do salonu wszedł Jonathan.

- Giles zasnął - oznajmił. - Razem z Goodallem pomogliśmy mu się położyć do łóżka. Uważam, że powinien regularnie dostawać środki przeciwbólowe. Mogę go odwiedzać tak często, jak zechcesz, ale lepszy byłby środek przeciwbólowy, podawany ilekroć go Giles będzie potrzebował.

- Rose też to proponowała, ale mówi, że to wymaga częstych wizyt pielęgniarki. Zapytałam ją, czy by się tego podjęła. Johnny, co ty na to? Zgadzasz się?

Popatrzył na Rose.

- Obawiam się, że jest mi potrzebna w klinice. Lady Hilton wyglądała na zrozpaczoną. Hm, Jenny obsługuje recepcję, więc ona właściwie mogłaby to wziąć na siebie.

- A gdybym przyjeżdżała po dyżurze? Byłoby to możliwe?

Jonathan ściągnął brwi.

- Sophio, przepraszam, musimy się naradzić. - Ujął Rose pod ramię i odprowadził w odległy róg salonu. - Rozumiem, że chcesz pomóc, ale nie masz własnych obowiązków?

Przestraszyła się, że Jonathan dowiedział się o jej chorobie, mimo że było to niemożliwe.

- Dopiero po całym dniu w pracy będziesz mogła pomóc przy ojcu. Muszę się troszczyć również o twoje zdrowie. Nie chcę szukać nowej pielęgniarki.

- W klinice nie padam z nóg ze zmęczenia. - Spojrzała na lady Hilton. - Chciałabym im pomóc. Co najmniej trzy razy w tygodniu po południu nie masz pacjentów. Wiem, popołudnia są zarezerwowane dla nagłych wypadków albo nieprzewidzianych wizyt, ale do tej pory nic takiego się nie wydarzyło. W te popołudnia mogłabym tu przyjeżdżać.

Jonathan również obserwował lady Hilton. Mimo że siedziała dumnie wyprostowana, oboje wiedzieli, że potrzebuje pomocy.

- Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem: że przyjeżdżasz tu w te trzy wolne popołudnia, w pozostałe dwa tak przestawimy godziny przyjęć, żeby nikogo nie zapisywać. Jak wydarzy się coś nadzwyczajnego, poradzę sobie z pomocą Jenny. Jeśli taki układ ci odpowiada, to umowa stoi. - Więcej nie musiał mówić, bo obo-

je wiedzieli, że potrwa to najwyżej kilka tygodni. Uśmiechnął się smutno do Rose. - Dziękuję, że to zaproponowałaś. - Znam ich od dziecka. Wszystko, co pomoże im przejść przez te tygodnie, ma dla nich wielką wagę... oraz dla mnie.

Poinformował lady Hilton o ich decyzji, zastrzegając się przy tym, że najpierw musi zmienić swoje plany, co jednak nie potrwa długo.

Podziękował za zaproszenie na kolację.

- Następnym razem zostaniemy, obiecuję, ale robi się późno, a muszę jeszcze odwieźć Rose do domu. Zadzwoń jutro rano, żeby ci powiedzieć, jak zmieniliśmy nasz rozkład dnia.

Powrotny lot do Londynu upłynął im w milczeniu. Rose zastanawiała się, jaki jest ten Jonathan Cavendish.

Z jednej strony nie stroni od rozrywek w towarzystwie sławnych i bogatych, z drugiej jako lekarz szczerze przejmuje się losem pacjentów.

Wyrzucała sobie, że na podstawie przesłanek, które jej podsuwała wybujała wyobraźnia, wysnuła fałszywe wnioski. Jak bulwarowa prasa.

Zerknęła na niego. Dlaczego wcześniej nie spotkała takiego człowieka? Zanim jej świat się zawalił. I dlaczego nęka ją przeświadczenie, że czuje do niego więcej, niż należy się szefowi?

ROZDZIAŁ PIĄTY

W sobotę, gdy czytała ojcu książkę, rozległo się pukanie do drzwi. Przez okno ze zdziwieniem zobaczyła zaparkowany pod domem samochód z napędem na cztery koła.

Gdy otworzyła drzwi, na progu ujrzała Jonathana. Uśmiechał się szeroko, był ubrany w dżinsy i koszulę z krótkim rękawem. Po raz pierwszy zobaczyła go w czymś innym niż garnitur. Wydał jej się jeszcze bardziej przystojny. I bardziej przystępny.

Z otwartą buzią wpuściła go do środka.

- Kto to? - zawołała matka, wychodząc z kuchni.

- Doktor Cavendish.

- Jonathan - przedstawił się matce.

- Co cię tu sprowadza? - zainteresowała się Rose, po raz pierwszy w życiu spe-
szona skromnym wyposażeniem rodzinnego domu. - Och, przepraszam, ale je-
stem zaskoczona twoją wizytą. Nawet nie wiedziałam, że znasz mój adres.

Uśmiechnął się chytrze.

- Twój adres jest w twoich dokumentach. - Ściągnął brwi. - Należało zadzwonić, ale uważałem, że jesteśmy umówieni.

- Umówieni? - powtórzyła.

- Na mecz, nie pamiętasz? Obiecałem, że znajdę sposób, żeby zawieźć twojego ojca na stadion.

Nie dowierzała własnym uszom.

- Przyjechałeś po mojego ojca? W tym samym czasie jest mecz krykieta.

- Będą następne. - Machnął ręką. - Potem idę na przyjęcie. Może byś ze mną poszła?

Nie mogła się otrząsnąć. Zrezygnował z krykieta, żeby zrobić coś dla jej ojca, człowieka, którego nawet nie zna. Serce jej rosło.

- Nie mogę. Nie mam stosownej kreacji. Poza tym jestem potrzebna w domu. - Nie do końca była to prawda, bo ojciec odzyskiwał formę i coraz rzadziej wymagał pomocy. Ale ona na przyjęciu z Jonathanem? Nigdy w życiu. O czym będzie rozmawiać z jego znajomymi albo oni z nią? To absurd.

Jednak zrobiło się jej trochę przykro. Dawno nie była na żadnej imprezie. Poza tym zaczęła dręczyć ją ciekawość, jak wygląda takie przyjęcie. Byłoby to całkiem nowe doświadczenie.

Nagle przypomniała sobie o obowiązkach pani domu.

- Zapraszam do pokoju. Wprowadziła go do ciasnego saloniku.

- Tato, to jest doktor Cavendish. Przyjechał zapytać, czy chciałbyś pojechać na dzisiejszy mecz.

Jonathan uścisnął ojcu dłoń.

- Miło mi pana poznać - powiedział. - Wiem od pańskiej córki, że jest pan kibicem Arsenalu. Tak się złożyło, że mam bilety na ten mecz, więc pomyślałem, że chciałby go pan obejrzeć.

- Bardzo to ładnie z pana strony. - Rose zaniepokoiła się, czy Jonathan rozumie ojca, bo ten nadal mówił niewyraźnie. - Ale mam problem z nogą. Nie wejść po schodach.

Ojciec już sam się mył i ubierał, ale nie ruszał się bez laski, więc Rose miała wątpliwości, czy poradzi sobie bez wózka.

- Mam pewien plan - oznajmił Jonathan. Najwyraźniej niesłusznie podejrzewała, że Jonathan nie zrozumie bełkotliwej mowy ojca. - Powiem panu tyle, że razem z Rose bez trudu pana tam zawieziemy i posadzimy na miejscu. Co pan na to?

Ojcu oczy się śmiały. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie zabierał ją na mecze, jak sadzał ją sobie na barana, żeby lepiej widziała.

- No nie wiem, młody człowieku... Niech pan jedzie z naszą Rose. Lepiej będzie się bawić.

- Bez ciebie, tato, nie pojadę. A doktor nie zamierza tu siedzieć, ma inne plany.

- Nic takiego nie powiedziałem - bronił się Jonathan. - Nie mam nic ciekawszego do roboty, więc zróbcie mi tę przyjemność i jedźcie ze mną.

- No, Rose... - odezwała się matka. - Nigdzie nie wychodzisz od... - To słowo nie przechodziło jej przez gardło. - Od kiedy ojciec zachorował. Świeże powietrze dobrze ci zrobi. A ja też odetchnę, jak ojciec przestanie zawracać mi głowę - zażartowała.

- W takim razie z przyjemnością pojadę na ten mecz.

Gdy zajechali pod stadion, Jonathan machnął ochroniarzowi jakąś kartą, po czym wpuszczono ich głównym wejściem. Potem windą pojechali prosto do loży.

- Zawsze chciałem obejrzeć mecz z takiej wytwornej loży - powiedział ojciec, sadowiając się na miejscu - ale nigdy nie było mnie stać.

- Może najpierw zjemy lunch? - zaproponował Jonathan.

Ojciec pokręcił głową.

- Wy idźcie na ten lunch. Mnie tu dobrze.

- Zostanę z tobą - pospieszyła Rose. - Ale ty, Jonathan, nami się nie przejmuj.

- W takim razie przyniosę lunch tutaj. Nie będę jadł sam. Na co macie ochotę?

Kilkanaście minut później wrócił z tacą. Uwadze Rose nie uszło, że wybrał takie dania, które ojciec mógł jeść jedną władną ręką. Po raz kolejny ujęła ją jego troskliwość.

Czekając na początek spotkania, Jonathan i ojciec dyskutowali o wcześniejszych meczach. Rose tymczasem dziękowała w duchu Jonathanowi za to, że po raz pierwszy od udaru miała okazję widzieć ojca tak ożywionego. Tego nie oczekuje się od pracodawcy.

Domyślała się, że jest to rewanż za to, że podjęła się opieki nad lordem Hiltonem. Czuła też, że jest o krok od zakochania się w swoim szefie.

Mimo że faworyci ojca przegrali w ostatnich minutach spotkania, wyprawa bardzo się udała.

Jonathan wiozł ich do domu, przez cały czas drobiazgowo analizując wraz z ojcem każdą minutę meczu, więc Rose, na tylnym siedzeniu, mogła oddać się rozmyśleniom. Zakochała się w człowieku skrajnie innym niż ona. Dlaczego teraz? Bo nawet gdyby on coś czuł do niej, to dla niej nie ma przyszłości.

A może wydaje jej się, że go kocha, właśnie dlatego, że nie wie, co ją czeka? Jeżeli to miłość. Na pewno pożądanie. Zadurzenie.

Wbrew opinii podrywacza Jonathan jest dobry i delikatny. Czy osoba pozbawiona tych cech charakteru zmieniłaby swoje plany, żeby jej chorego ojca zabrać na mecz? Wątpliwe.

W domu Jonathan pomógł ojcu usadowić się w fotelu przy oknie, ale ona bała się spojrzeć mu w twarz, by nie domyślił się, co czuje.

- Pytałem Rose, czy pójdzie dzisiaj ze mną na przyjęcie - odezwał się nagle - ale dała mi kosza. - Rzucił matce uwodzicielskie spojrzenie.

- Rose? Odmówiłaś?

- Mamo, nie mogę, jestem ci potrzebna.

- Nie żartuj. Damy sobie radę. Należy ci się jakaś rozrywka. Ostatnio mizernie wyglądasz. - Matka była wyraźnie zmartwiona.

- Nie życzę sobie, żeby mój personel mizernie wyglądał - rzekł Jonathan. - Obiecuję, że jeśli ci się nie spodoba, odwiozę cię do domu. Wcale nie musimy iść na tę imprezę, możemy robić coś innego.

Skapitulowała. Prawdę mówiąc, o niczym innym nie marzyła jak o tym, by gdzieś z nim pójść. Kto wie, ile jeszcze razy trafi się taka okazja? Jeżeli zostało jej niewiele czasu, chciałaby go spędzić z Jonathanem.

- Okej... Pod jednym warunkiem. Dzisiaj to ja zabieram ciebie, żebyś poznał moich przyjaciół. - Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Zgoda. - Uśmiechnął się szeroko. - Prowadź.

W pubie czuł się mocno skrepowany, bo znajomi do tego stopnia obiegli Rose, że zniknęła mu z oczu co najmniej na dziesięć minut. Ktoś, nawet nie zapamiętał tej twarzy, wetknął mu do ręki kufel piwa i polecił je wypić.

U licha, co on tu robi? I co ważniejsze, dlaczego tak bardzo mu zależy, by dowiedzieć się czegoś więcej o Rose Tylor?

Jest tyle kobiet, z którymi mógłby się spotkać, i żadna z nich nie kazałaby mu śpiewać. Jęknął w duchu. Najwyraźniej występy estradowe były jednym z punktów programu tego spotkania. Rose ze złośliwą satysfakcją uprzedziła go, że też powinien coś zaśpiewać. Mimo to on nie zrejteruje. Oby tylko *paparazzi* nie wytropili go w tym pubie. Dzięki Bogu, to mało prawdopodobne. Nawet nie przyszłoby im do głowy, że można go znaleźć w knajpie na przedmieściach Londynu.

Lokal pękał w szwach, ponieważ był to wieczór szkocki, więc zjechali się ludzie z całego Londynu. W sali panowała beztroska atmosfera, ponad gwarem rozmów i brzękiem szkła unosił się radosny śmiech.

Rose precyzyjnie się do niego i usiadła obok. Po raz pierwszy widział ją z rozpuszczonymi włosami. Miała roziskrzony wzrok i nie przestawała się uśmiechać. Tak ożywionej jeszcze jej nie widział.

Nagle ktoś zawołał, by się uciszyli. Kilka minut później zapanował względny spokój. Jack, którego Rose przedstawiła jako serdecznego przyjaciela, wszedł na zaimprovizowaną scenę z mikrofonem w ręce.

- Większość z was już zna Rose... - zaczął, ale przerwał mu głośny aplauz oraz energiczne tupanie. Rose lekko zbladła, mrużąc coś pod nosem. - Ale nie wszyscy wiecie, że Rose sama komponuje piosenki i gra na gitarze.

Rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Jonathan zerknął na nią kątem oka. Ona gra na gitarze. Nie wiedział o tym. I sama pisze piosenki.

- Na pewno chętnie dla nas zaśpiewa - ciągnął Jack. - Ale musimy ją ładnie poprosić.

Znowu burzliwa owacja i ogłuszający tupot. Jeszcze głośniejsze. Zacerwie-niona Rpse potrząsnęła głową, ale wstała z miejsca i ruszyła ku estradzie.

Przejęła mikrofon od Jacka.

- Przepraszam, kochani, ale nie przyniosłam dzisiaj gitary. Niestety nic wam nie zagram. - Rozległ się jęk zawodu, ale w tej samej chwili Jack uniósł wysoko gitarę.

- Moja droga, nic z tego - oznajmił. - Mamy gitarę! Nie możesz sprawić nam zawodu.

Ociągając się, wzięła od niego instrument, ktoś podsunął jej krzesło, więc usiadła, po czym zagrała kilka akordów. Uczestnicy wieczoru wstrzymali od-dech.

- Okej, zaśpiewam wam jeden utwór. - Uniosła do góry palec dla podkreślenia swoich słów. - Nosi tytuł *Fear a 'bhata*. Jest to szkocka pieśń w języku gaelic-kim, którą śpiewała mi moja mama, kiedy tęskniła do Szkocji, a często jej się to zdarzało. Zaśpiewam ją dzisiaj dla tych wszystkich, którzy są daleko od rodzin-nych stron.

Po chwili jej chropawy ciepły głos wypełnił salę. Nie trzeba było rozumieć słów, by dać się ponieść wszechogarniającej nostalgii i smutkowi.

Słuchał jak zaczarowany. Pierwszy raz otoczył go świat, w którym ludzie tęsk-nili za czymś, czego nie mieli. Rose na pospiesznie zaimprovizowanej scenie stała się dla niego objawieniem. Zamiast nieśmiałej myszowatej Rose, którą da-rzył głębokim szacunkiem, miał przed oczami piękną kobietę, która śpiewała tak przekonująco, jakby sama doświadczyła straty i rozpacz. Kobieta, której nie po-dejrzewał o tak bogate wnętrze, która podniecała go i koła. Zdał sobie nagle sprawę, że ją kocha! Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba.

Gdy ucichły ostatnie tony pieśni, w pubie rozpętała się burza oklasków. Tu i tam ktoś krzyknął: Bis!, ale Rose tylko pokręciła głową, oddała Jackowi gitarę, po czym zeszła ze sceny.

Jonathan nie mógł się pozbierać. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić. Rose usiadła obok niego.

- Nie powiedziałaś mi, że umiesz tak śpiewać. Uśmiechnęła się skromnie.

- To nic wielkiego. Śpiewam dla przyjemności, kiedy jestem sama, a na dworzec leje. Czasami, jak coś mnie poruszy, wymyślam własne piosenki. To mi pomaga się zrelaksować. - Popatrzyła na niego. - To był mój pierwszy występ przed publicznością - wyznała. - Nawet nie podejrzewałam, że potrafię.

Jeśli wcześniej go zaciekawiła, to teraz miał absolutną pewność, że musi dowiedzieć się wszystkiego o tej niezwyklej kobiecie.

Zrobiło się bardzo głośno, bo mężczyźni rozsuwali stoły, by ustawić je pod ścianami. W tym samym czasie na estradę weszło trio: akordeonista i dwoje skrzypków.

- Umiesz tańczyć? - zapytała z figlarnym uśmiechem. - Śpiewanie chyba ci się upiekło.

Odetchnął z ulgą.

- Zależy co. Walc mi nie idzie, lepszy jestem w fokstrocie, ale coś mi mówi, że nie o takie tańce tu chodzi.

- Masz rację. Tutaj tańczy się dwa typy tańców szkockich: dworskie i liniowe. Tych dworskich na pewno uczono cię w szkole.

Ulżyło mu. Tak, w szkole wpojono mu wszystkie skomplikowane kroki i figury dworskich tańców szkockich. To żaden problem. Ale w dalszym ciągu niepokoił go lekki uśmieszek igrający na jej wargach.

Gdy zagrała muzyka, wstał i podał jej rękę.

Ale jeśli myślał, że będzie tańczył tak, jak go uczono, to grubo się pomylił. Tak, kroki były te same, ale tempo zupełnie inne. Zawrotne, a grajkowie stale

przyspieszali. Wkrótce miał wrażenie, że kręci się w tańcu derwiszy, przebierając stopami z prędkością światła. Gdy obracał Rose, jej rozwiane włosy smagały go po twarzy. Jego druga partnerka narzuciła jeszcze szybsze tempo.

Złapał dech, dopiero gdy muzyka ucichła. Ale przerwa nie trwała długo. Potem były, jeden po drugim, kanadyjski taniec tradycyjny w parach, szkocki solowy, reel i two-step. Wszystkie w tempie na łeb, na szyję. Jonathan ze zdumieniem odkrył, że udział w tym zbiorowym szaleństwie sprawia mu ogromną radość. Na koniec muzykanci zagrali walca.

Przyciągnął Rose do siebie i położył jej dłoń na swoim ramieniu. Początkowo czuł, że jest spięta, ale z każdym taktem się rozluźniała.

- Jak ci się podoba? - zapytała, podnosząc na niego wzrok. - Domyślam się, że nie jest to coś, co tygrysy lubią najbardziej.

- To tylko dowodzi, że mnie nie znasz. Czy w ramach naszej następnej randki pójdziesz ze mną na przyjęcie, o którym wspominała Jessamine?

Ta propozycja ją zaskoczyła. O co mu chodzi? Poczul, że lekko się od niego odsunęła.

- Następna randka? - Zaczerwieniła się. - Ale to nie jest żadna randka. Przyjacielski wypad.

- Naprawdę tak uważasz? Rose, nie udawaj. To do ciebie nie pasuje. Oboje dobrze wiemy, że to coś więcej.

Chcę lepiej poznać Rose Taylor, a podejrzewam, że i ty nie jesteś do mnie wrogo nastawiona. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Oboje dobrze wiemy - powtórzyła - że nie wolno nam się wiązać.

- Dlaczego?

- Wiesz, dlaczego.

- Nie wiem, powiedz.

- Uważam, że nie należy mieszać życia zawodowego z prywatnym.

- Dlaczego? Właśnie to teraz robimy. Ja świetnie się bawię, a ty nie?

- Tak, ale... - Zawahała się, jakby szukała słów. Ona chce powiedzieć, że jesteśmy z różnych światów,

pomyślał. To prawda, wychowali się w innych środowiskach, obracają się w innych kręgach, inaczej żyją, ale czy -to ważne? Nie dla niego. Dla niej chyba tak. Wiele razy widział na jej twarzy dezaprobatę dla trybu życia, o jaki go podejrzewała. Jest głęboko przekonana, że wszystko ich dzieli. Ale on po raz pierwszy czuje się tak dobrze w towarzystwie kobiety. I żadnej tak nie pragnął jak jej teraz.

- Nie możemy się umówić i razem przyjemnie spędzić czasu? Jak przyjaciele?
- dodał pospiesznie, doskonale wiedząc, że wcale nie chce z nią tylko się przyjaźnić. - Czy to nas do czegoś zobowiązuje? Nikt nikomu niczego nie zamierza obiecywać. Po prostu dwoje ludzi się spotyka, żeby lepiej się poznać.

- Przelotne miłości to nie moja specjalność - wykrztusiła. - Wiem, że to staroświeckie, ale taka jestem. Nie zmienię się, żeby ci się podobać.

- Wcale tego nie oczekuję. Nie zamierzam wabić cię do łóżka. - Uśmiechnął się na myśl, że mógłby trzymać w ramionach nagą Rose. - Obiecuję, że będę się zachowywał jak przystało na dżentelmena. Coś mi podpowiada, że przydałaby ci się bratnia dusza.

- Mam wiele bratnich dusz. - Omiotła gestem całą salę.

- Przyjaciół nigdy za wiele - stwierdził. - No, nie mów nie. Jeśli nie potrzebujesz przyjaciół, to przynajmniej na jakiś czas zapomnisz o pracy. - Zniżył głos. - I o tym, co dzieje się w domu.

Gdyby chodziło tylko o to... Ale przecież obiecała sobie cieszyć się z życia. Na przykład, jak tego wieczoru. Mimo że Jack już dawniej namawiał ją, by zaśpiewała dla publiczności, zawsze odmawiała, przerażona taką perspektywą. Ale dzisiaj przypomniawszy sobie o swojej obietnicy, więc przemogła strach.

Zamknęła oczy, by sobie wyobrazić, że siedzi sama w swoim pokoju, a kiedy zaczęła śpiewać, zapomniawszy o lęku. W tęskną pieśń włożyła całe serce, przelała cały smutek z powodu utraconej przyszłości. Odczuła wtedy wielką ulgę. Entuzjizm słuchaczy był dla niej wielkim zaskoczeniem, bo prawie zapomniawszy, że śpiewa dla pełnej sali.

Gdy uniosła powieki, napotkała jego wzrok. Wpatrywał się w nią... z uwielbieniem? Zaskoczeniem? Zrobiło się jej dziwnie, i to nie z powodu choroby. Nie wiadomo dlaczego w jego obecności czuła, że może wszystko. Na moment zabrakło jej tchu. Ale to nie może się wydarzyć. Nie ma tego w jej planach. Nie jest jej dana przyszłość z Jonathanem, ale też i on jej tego nie proponuje.

Podawała mu dłoń, a on rzucił jej zdziwione spojrzenie, po czym delikatnie zaciśnął palce na jej ręce. Przeszył ją dreszcz. Niczego tak bardzo nie pragnęła, jak znaleźć się w jego ramionach. Poczucie smaku jego warg. Zatrącić się w nim, choćby na krótko.

- Poddaję się. Pójdę z tobą na to jutrzejsze przyjęcie. - Pokiwała mu palcem przed nosem. - Ale tylko dlatego, że nigdy nie byłam na imprezie na jachcie.

Uśmiechnął się.

- Jeśli to jest twój główny argument, to będę cię kusił jeszcze mnóstwem różnych innych imprez.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rano lało jak z cebra. Na myśl, co ją czeka tego dnia, poczuła skurcz żołądka. Gdyby nie to, że przyrzekła sobie trzymać się wytyczonego planu, znalazłaby jakiś pretekst, żeby się wykręcić. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy się nie oszukuje.

To nie nakaz, by póki może, czerpać z życia, ile się da, lecz fakt, że centrum tego życia, dla niej kusząco niedostępnego, jest Jonathan. Kto wie, jak długo będzie istniał w jej życiu? A ona chce spędzić z nim każdą minutę, żeby zbierać wspomnienia, które będą jej musiały wystarczyć do końca życia.

Krytycznie przeglądała swoją garderobę. W czym się przychodzi na party na jachcie? Ostatecznie zdecydowała się na niezawodną małą czarną. Wkładała ją zawsze, gdy nie wypadało wystąpić w dżinsach lub spódnicy. Zaletą tej kreacji był krój, który sprawiał, że jej przesadnie szczupła sylwetka nabierała kobiecych kształtów.

Nim się umyła i ubrała, wyszło słońce. Być może ten dzień nie okaże się kompletnym fiaskiem.

Przyjechał po nią Jonathan. Prezentował się bosko. Na jej widok aż zagwizdał, a ona nagle poczuła się skrepowana, nawet się zaczerwieniła.

Pierwszą niespodzianką był fakt, że jacht nie jest zacumowany na Tamizie. Widząc jej zaskoczenie, Jonathan wybuchnął śmiechem.

- Mało kto trzyma łodzie na Tamizie. Nasz jacht czeka na nas u wybrzeży wyspy Wight. Przyślą po nas śmigłowiec.

Tylko tak się podróżuje w tych kręgach? Dlaczego nie samochodem? Jasne, trudno samochodem dojechać na wyspę. Rozboliła ją głowa. Po kiego licha przyjęła to zaproszenie? Na pewno nie będzie się tam dobrze czuła.

Zerknął w jej stronę.

- Chyba się nie rozmyślisz? - zapytał poważnym tonem.

Już miała na końcu języka, że tak, że prosi, by wysadził ją przy najbliższej stacji metra, ale się powstrzymała. Przecież przyrzekła sobie, że postara się żyć bardziej ryzykownie, więc nie może się wycofać ze strachu, że będzie odstawać od reszty towarzystwa. Co złego może ją tam spotkać? Jeśli ją kompletnie zignorują... Żabką popłynie z powrotem do Londynu?

- Obiecuję, że będę się tobą opiekował - odezwał się. - Oni są całkiem mili. Jest wśród nich paru oszołomów, ale niegroźnych.

Westchnęła zrezygnowana. Przecież mając Jonathana, nie będzie skazana na samą siebie.

Takiego jachtu jeszcze nie widziała. Przede wszystkim był ogromny, niewiele krótszy od boiska piłkarskiego. W promieniach słońca połyskiwał bielą lin i srebrzystą stalą.

Na pokładzie było już sporo gości, część w bikini i kąpielówkach, część w dżinsach lub szortach i kolorowych koszulkach. Poczowała się przesadnie wystrojona, ale też pomyślała, że nigdy w życiu nie włożyłaby kostiumu kąpielowego na przyjęcie, zwłaszcza o tej porze roku.

Gdy wkroczyli na pokład, podano im drinki. Upiła łyżeczek, skrzywiła się, upewniła, że nikt na nią nie patrzy, po czym wylała go za burtę. Za wcześnie na szampana.

Chwilę później, ku jej niezadowoleniu, Jonathan zniknął jej z oczu. Tyle warte są jego obietnice. Prawdę mówiąc, skąd miał wiedzieć, jak bardzo jest onieśmiona i skrepowana? Oparła się o reling, by się zastanowić, kiedy wypada pożegnać takie grono. Czowała, że powinna się przedstawić innym gościom, ale jej palce odmawiały puszczenia poręczy.

- Cześć. - Z zadumy wyrwał ją męski głos. - Kto ty jesteś?

Odwróciła się gwałtownie. Stał przed nią wysoki blondyn i przyglądał się jej lekko mętным wzrokiem. Wyraźnie przesadził z szampanem.

- Rose Taylor, pielęgniarka Jonathana - odpowiedziała, uprzejmie, podając mu dłoń.

- Miło mi cię poznać, Rose Taylor, pielęgniarko Jonathana. Jestem Henry, a to jest bankiet mojej siostry.

Rozejrzała się, sprawdzając wzrokiem, która z eleganckich kobiet wygląda na jego siostrę. Dostrzegła głowę Jonathana ponad wianuszkami zasłuchanych kobiet. Jakby wyczuwając jej spojrzenie, popatrzył na nią, pytająco unosząc brwi. Nieznacznie pokręciła głową. Teraz, gdy ktoś z nią rozmawiał, nie czuła się samotna jak palec.

Nagle Henry wyciągnął rękę i zdjął jej okulary. Jej niepokój sięgnął zenitu, bo wszystko stało się kompletnie zamazane. Chciała mu odebrać okulary, ale schował je za siebie.

- Ej, jesteś całkiem ładna, jak nie chowasz się za cynglami. - Zatoczył się w jej stronę, dysząc alkoholowym oddechem. - No proszę, oto słodka tajemnica Jonathana.

Odsunęła się z obrzydzeniem, ale Henry przysunął się tak blisko, że niemal przyparł ją do relingu. Ponad jego ramieniem szukała wzrokiem Jonathana, ale widziała tylko niewyraźne sylwetki.

- Proszę mi oddać okulary. - Starła się mówić jak najspokojniej, tym bardziej że nie chciała robić sceny.

Pomachał jej nimi przed nosem.

- A dostanę całusa? - wybełkotał.

Wyrwała mu okulary z ręki. Nareszcie wszystko widziała. Zobaczyła też Jonathana, który obserwował ich ze ściągniętymi brwiami. Po jej minie musiał się zorientować, że jest w opałach. Natychmiast do nich podszedł.

- Cześć, Henry. Zabieram mojego gościa - oznajmił. - Oprowadzę Rose po jachcie. - Ujął ją pod ramię i odprowadził na bok. - Henry'ego należy obchodzić z daleka. Takie panienki jak ty chrupie na śniadanie.

Wyswobodziła ramię.

- Skąd wiesz, że bym sobie z nim nie poradziła? -warknęła. - To, że na co dzień nie spotykam bogatych i sławnych, nie znaczy, że nie umiem sobie poradzić z takim gadem. Gdyby mi nie zabrał okularów, nie musiałbyś mnie... ratować.

Była wściekła, bo nagle znalazła się w centrum zainteresowania, więc wyżyła się na Jonathanie. Nie powinna była tu przyjeżdżać, niezależnie od składanych sobie obietnic. Jej plan nie przewiduje upokorzenia!

Wystarczyło jednak, by Jonathan się roześmiał, a cała złość jej przeszła.

- Masz rację, powinienem był się domyślić, że poradzisz sobie z Henrym. Po prostu spiorunowałabyś go wzrokiem. - Gdy zdjął jej okulary, świat stanął w miejscu. - Wiesz, że masz śliczne oczy?

Kolana się pod nią ugięły. Nie wolno mu tak na nią patrzeć, bo jej się wtedy wydaje, że jest taka piękna jak reszta kobiet na tym jachcie, a to nieprawda. Przy nich wygląda jak niezdarna małolata. Odebrała mu okulary. Boże, dlaczego on tak się uśmiecha?

Czuła, że się czerwieni, więc żeby tego nie widział, odwróciła się na pięcie tak gwałtownie, że mało nie upadła. Pochwycił ją i przyciągnął do siebie. Czuła jego ciepło i zapach wody po goleniu, aż w głowie jej zaszumiało.

Wpatrywał się w nią. Czy on zdaje sobie sprawę, jak na nią działa? Oczywiście. To dla niego nie nowina.

- Zamierzałeś oprowadzić mnie po jachcie. - Zabrzmiało to wyjątkowo oschle, aż pożałowała, że nie przyszła jej na myśl jakaś lżejsza riposta.

Nie przestając się uśmiechać, wskazał na schody prowadzące pod pokład.

- Zejdźmy na dół.

Znaleźli się w salonie pełnym rozbawionych gości. Jonathan prowadził ją przez tłum, od czasu do czasu odpowiadając na powitania znajomych. Lecz nim dotarli w drugi koniec sali, podeszła do niego dziewczyna z włosami jak srebrzysty wodospad i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kochany, wszędzie cię szukam!

Rose czuła na sobie zaciekawione spojrzenia, ale zawzięła się w sobie, by nie pokazać, jak bardzo jest speszona. Odeszła na bok.

Za salonem znajdowało się kilka pokoi sypialnych, niedużych, ale wyposażonych w najnowsze sprzęty elektroniczne: płaskie telewizory i supernowoczesne głośniki. W każdym była łazienka. Przecisnęła się z powrotem przez salon. Jonathan zniknął, więc wyszła na pokład. Na jednym końcu, chyba to się nazywa dziób, było jacuzzi, a w nim chlapało się kilka osób. Dookoła kręcili się kelnerzy i kelnerki, roznosząc drinki oraz zakąski.

Sięgnęła po sok pomarańczowy i kanapeczkę z czymś dziwnym, ale pysznym. Na szczęście w polu widzenia nie było Henry'ego.

- Tu jesteś! - Podszedł do niej Jonathan wraz z blondynką. - Szukam cię i szukam. Poznaj Summer. Summer, to jest Rose.

Jak się ma takie włosy, to musi się mieć na imię Summer. Blondynka obdarzyła ją podejrzanym promiennym uśmiechem.

- O matko! - jęknęła. - Skąd wytrzasnęłaś taką sukienkę? Z targu staroci?

Uff. Chyba wszyscy się zmówili, żeby jej dokuczać. Dawniej coś by odburknęła i odeszła, ale tak było, zanim... Zanim się dowiedziała, że ma ważniejsze sprawy na głowie, niż przejmować się nieuprzejmymi wstrętnymi osobnikami, którzy nie mają nic innego do roboty, jak okazywać jej swoją wyższość.

- Ależ tak. Ty to masz oko... - odcięła się. - Lubię nosić rzeczy, które kiedyś się komuś podobały. Mam wrażenie, że czegoś się o nich dowiaduję.

Omiotła Summer spojrzeniem. Blondyna miała na sobie legginsy, które wyglądały jak skóra tygrysa, i tunikę ze złotej lamy, która ledwie zakrywała jej pupę. Mimo że Summer wyglądała fantastycznie, Rose nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek sama tak się ubrała. Za modnie i za krótko. Nie, woli swoją małą czarną. Co z tego że niemodna? -

Poczuła, że ma dosyć. Należało posłuchać intuicji i się tu nie pchać. Nic jej nie łączy z tymi ludźmi.

W myślach dobierała słowa, żeby się już pożegnać, gdy podeszła do nich brunetka z szelmowskim uśmiechem na wargach. Wzięła Jonathana pod ramię.

- Podziwiam twoją sukienkę, od kiedy się tu zjawiłaś - powiedziała. - W zeszłym tygodniu dokładnie taką samą widziałam na pokazie w Mediolanie. Na tobie wygląda nawet lepiej niż na modelce, prawda, Summer?

- Rose, poznaj lady Ashley, moją kuzynkę. Ash, to jest Rose.

Ashley uścisnęła rękę Rose.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. Johnny mi o tobie opowiadał. Dobrze się bawisz? - Zwróciła się do Summer. - Kochana, przyprowadź tu któregoś z kelnerów. Konam z głodu.

Na odchodnym blondyna spojrzała na Ashley spode łba, a ta z kolei mrugnęła do Rose.

- Summer jest nieszkodliwa. Ma bzika na punkcie tego tu mojego kuzyna. Nie może się powstrzymać, żeby nie kąsać opozycji.

Opozycja? To znaczy ona? Czy ta Ashley oszalała? Kątem oka zauważyła, jak Jonathan łokciem trąca kuzynkę w bok.

- Za to moja droga kuzyneczka lubi przesadzać. Jestem przekonany, że Summer wcale się mną nie interesuje.

Ashley wysoko uniosła brwi.

- Nie bądź naiwny. Znasz ten typ równie dobrze jak ja. Ponieważ jej papcio zarabia miliony, ona uważa, że powinna się wydać za arystokratę. Obawiam się, że padło na ciebie.

- Och, Rose na pewno nie ma ochoty wysłuchiwać takich bredni. - Mimo że zabrzmiało to chłodno, widać było, że bardzo lubi swoją kuzynkę. - Poza tym postawiłem sprawę jasno, że nie szukam żony. Jeszcze nie. Może nigdy.

- Oj, Johnny. - Ashley położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie mów tak. To, że wuj Charles nie potrafi wytrwać w ślubnym związku pięciu minut, nie oznacza, że inni nie powinni tego spróbować.

- Opuśćmy sobie ten temat. - W jego głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia. - Rose, obejrzałaś już wszystko? Myślisz, że możemy się ulotnić?

O niczym innym nie marzyła, ale nie chciała wyciągać go z imprezy, tym bardziej że byli tam dopiero od godziny.

- David! - rozległ się rozpaczliwy krzyk. - Ratunku! Pomóżcie! Chryste, zniknął mi z oczu!

Jonathan w kilku susach znalazł się po przeciwnej stronie pokładu, gdzie zbiegła się grupka gapiów. Rose ruszyła za nim. Ludzie wpatrywali się w wodę, coś sobie pokazując.

- David wskoczył do wody. Nie widzę go ! - krzyczała zrozpaczona kobieta. - Tłumaczyłam mu, że za dużo wypił, żeby się kąpać, ale mnie nie słuchał. Matko, gdzie on jest?

Jonathan ściągnął marynarkę i zdjął buty.

- Z którego miejsca skoczył?

- Tutaj. Skoczył na główkę. Chyba uderzył głową w jacht. Johnny, błagam, ratuj go.

Z zapiętym tchem patrzyli, jak Jonathan znika pod wodą, po czym się wynurza i rozgląda na wszystkie strony. Nurkował kilkakrotnie, ale za każdym wynurzeniem przecząco kręcił głową. Kilku mężczyzn już szykowało się przyjść mu z pomocą, gdy wynurzył się po raz kolejny. Tym razem trzymał w ramionach ciało.

Rose odetchnęła głębiej, gdy obaj w końcu znaleźli się na pokładzie. Człowiek wyłowiony przez Jonathana nie oddychał. Jego dziewczyna osunęła się przy nim na kolana.

- David! - szlochała. - Otwórz oczy! Obudź się! Rose delikatnie ją odsunęła.

- Posuń się, obejrzę go.

Pochyliła się, by rozpocząć sztuczne oddychanie. Raz, dwa... piętnasty wydech. Przez cały czas obserwowała, czy klatka piersiowa się uniesie. Niestety. Gdy podniosła wzrok, jej i Jonathana spojrzenia się spotkały. Pomyśleli o tym samym. Żeby David zaczął oddychać, należy najpierw usunąć wodę z płuc.

W pewnej chwili, gdy wspólnym siłami opróżniali płuca topielca, David zachłysnął się, po czym z jego ust chlusnęła fontanna wody.

- Ktoś wezwał karetkę? - zapytał Jonathan.

- Tak - odezwała się Ashley.

- Pomóżcie mi umieścić go w łódce. Ash, powiedz, żeby karetka czekała na nas przy moło.

David odzyskał przytomność, ale sprawiał wrażenie oszołomionego. Z rany na głowie lała się krew. Jonathan delikatnie zbadał rozcięcie.

- Powierzchowne - orzekł. - Mamy coś, czym można by zatrzymać krwawienie?

Rose instynktownie oderwała pas materiału od swojej sukienki, by zwinąć tampon. Co tam, jak zauważyła Summer, ta kiecka swoją świetność ma już za sobą.

- Co się stało? - wybełkotał David.

- Ty idioto! - Jego dziewczyna przytuliła się do niego. - Mogłeś się zabić. Nie żyłbyś, gdyby nie Jonathan i jego koleżanka. Nigdy więcej nie rób mi takich numerów.

- Nic mu nie będzie, ale trzeba go odwieźć do szpitala. Morska woda źle działa na płuca. Jest tu apteczka? Trzeba mu zrobić lepszy opatrunek.

Ktoś podał mu apteczkę. Wyjął bandaż i owinał nim tampon z kawałka sukienki Rose. Prowizorka, ale do przybycia karetki wystarczy.

Rose odciągnęła dziewczynę Davida na bok, żeby umożliwić mężczyznom wciągnięcie łódki na pokład i ułożenie w niej Davida.

- Jak tylko ją spuścimy na wodę - odezwał się Jonathan, gdy Rose wsiadała - dołączę do was. - Przytaknęła.

Od strony lądu dobiegł ich sygnał karetki.

Potem Jonathan zszedł do nich po drabince, włączył silnik i wziął kurs na przystań. Na molo przekazali pacjenta zespołowi karetki. Ratownicy zadali im kilka pytań i ruszyli w drogę powrotną.

- Hm, tak też można opuszczać imprezę - mruknął Jonathan. Był przemoczony do nitki, ale chyba mu to nie przeszkadzało. - Założę się, że rano łeb będzie mu pękał. Domyślam się, że nie masz ochoty tam wracać.

- Zdecydowanie - odrzekła bez wahania, po czym ugryzła się w język. - Słuchaj, to miło, że zaprosiłeś mnie na przyjęcie, ale... - Machnęła ręką w kierunku jachtu. - To nie jest mój żywioł. Twój znajomi są na pewno wspaniali, ale, prawdę mówiąc, wolę iść na spacer albo coś przeczytać. Może to wydawać ci się nudne, ale taka już jestem. - Uśmiechnęła się. - Dodatkową atrakcją jest to, że nie muszę ratować kolegów, którzy będąc pod wpływem, skaczą do wody i rozwalają sobie głowę.

- W porządku. Wiem, że jeszcze nie musisz wracać do domu, więc może razem spędzilibyśmy resztę dnia. Daj mi drugą szansę. Ty zadecyduj, co chcesz robić.

- Zadowolisz się byle czym, tak mam to rozumieć? Zrobił obrażoną minę.

- Nie nazwałbym tego byle czym. Rose, sam nie wiem dlaczego, ale ciekawi mnie wszystko, co robisz. Poza tym chciałbym też pokazać ci się z innej strony. - Uśmiechnął się, a jej aż się serce ścisnęło.

Nie wierzyła, że może go interesować. Zdecydowanie nie była w jego typie i godziła się z tym, że nic nie może ich połączyć, nawet gdyby nie miała tego paskudztwa w mózgu. Nawet gdyby Jonathan okazał się najwspanialszym mężczyzną na jej drodze.

Jednak niezależnie od tego, jak nieudana okazała się pierwsza połowa tego dnia, nie chciała, by się już kończył.

- O której powinnaś wrócić do domu? - zapytał.

- Późnym wieczorem. Po południu do mamy przyjdzie z wizytą koleżanka i pomoże mamie położyć tatę.

- Muszę się przebrać. Masz ochotę obejrzeć mój wiejski dom?

Skrzywiła się drwiąco.

- Oczywiście masz dwa domy. Jak mogłam o tym nie pomyśleć.

- Hm, dwa domy tutaj, plus dom rodziców. I niestety; jeszcze kilka za granicą.
- Rozłożył ręce. - To nie moja wina. To ojciec kolekcjonuje domy jak inni kape-
lusze.

- I co? Przekazuje je tobie?

- Przekazał mi dom w mieście, to fakt - przyznał urażonym tonem - żeby unik-
nąć podatku spadkowego! Ale ten, do którego zamierzam cię zabrać, jest mój!
Myślę, że ci się spodoba. Zgódź się. Szczerze mówiąc! chciałbym poznać twoją
opinię. Ashley mnie namawiał żebym zmienił wystrój, ale ja się na tym nie znam
i ni| mam pojęcia, co tam można zrobić.

- Nie możesz wynająć firmy wnętrzarskiej? Tam na pewno mają gust podobny
do twojego. - Mimo to zaciękawilo ją, co Jonathan nazywa swoim domem. -
Dobrze. Czemu nie? Ale ostrzegam, powiem, co naprawdę myślę. Nie oszukuj-
my się, twój londyński dom nie przypadł mi do gustu. - Była tam jeden raz, by
dać mu do podpisu jakiś pilny list. Panujący tam przepych zupełnie do niego nie
pasował.

Uśmiechnął się szerzej.

- Przyznam ci się, że i mnie się tam nie podoba. Nieopatrznie dałem architek-
towi wolną rękę. Nie ja go wybierałem, Ashley mi go poleciła. Czuję się tam,
jakbym mieszkał w butiku albo w hotelu. Drugi raz nie chcę ryzykować.

Aha, najpierw sekretarka, potem pielęgniarzka, a teraz dekoratorka. Jak nie bę-
dzie ostrożna, to przypadnie jej rola gosposi.

Z lądowiska w Londynie jechali jeszcze godzinę. Jonathan prowadził szybko,
ale rozważnie. Rose tymczasem usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie, co ona
robi, a dokładniej, czego on od niej oczekuje.

W końcu skręcił na szeroki długi podjazd, ale zatrzymał się pod małym dom-
kiem nieopodal bramy wjazdowej. Takie ozdobne bramy Rose miała okazję
oglądać, zwiedzając okazale rezydencje udostępniane zwiedzającym za opłatą.

- Jesteśmy na miejscu. - Jonathan wyłączył silnik. -Później pójdziemy do głównego domu, żeby przywitać się z Mary. To nasza kucharka. - Westchnął. - To ktoś znacznie ważniejszy niż kucharka. Zamieszkała z nami jeszcze przed śmiercią mojej matki. I mi ją zastępowała.

Otworzył drzwi stróżówki i zaprosił Rose do środka.

Znalazła się w niewielkim holu, trochę tylko większym niż w domu jej rodziców. Po lewej wchodziło się do skromnie urządzonego salonu, w którym stały dwie skórzane kanapy i kilka podręcznych stolików, a przed otwartym kominem leżał spłowiały, ale piękny dywan; na wprost wejścia duże okno z widokiem na ogród, po jednej stronie półki z książkami, naprzeciwległej ścianie obrazy podobne do tych, które wisiały w jednym z gabinetów w klinice. Ku jej radości ten dom okazał się dla niej niespodzianką.

- A tutaj jest drugi salon, pokój stołowy oraz kuchnia. Na piętrze mam trzy sypialnie.

Spodziewała się różnych stylów, ale nie tego. Wyobrażała sobie coś nafaszerowanego męskimi gadżetami, a nie przytulne mieszkanie. Raz po raz otrzymywała dowody na to, że zbyt pochopnie ocenia Jonathana.

- Podoba mi się. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś coś tu zmieniać.

Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

- Stale to im powtarzam. Ale Ashley uważa, że powinno tu być bardziej trendy.

- Nic bym tu nie zmieniła - oświadczyła bez cienia wahania. - Ale nie ja tu mieszkam.

- Wobec tego zostawię wszystko jak jest. Mnie się tu podoba. Mogę oprzeć nogi na stole i swobodnie się poruszać bez obawy, że strącę jakieś cacko. - Zawahał się. - Nigdzie nie czułem się tak dobrze jak tu.

Gdy poszedł się przebrać, obejrzała książki na półkach. Klasycy oraz kilka thrillerów. Na podłodze sterta literatury medycznej. Na jednym ze stolików jej uwagę przyciągnęła fotografia kobiety i mężczyzny. Objęci siedzieli na trawie. W tle rozpoznała bramę wjazdową.

Kobieta nie wyróżniała się urodą, za to miała niezwykle zielone oczy. Mężczyzna mógł być młodszy od Jonathana.

- Rodzice? - zapytała, gdy wrócił.

Wyjął jej fotografię z ręki, smutno potakując.

- Tak - odparł cicho. - W siódmą rocznicę ślubu. Mama umarła niedługo potem. - Odstawił fotografię na miejsce. - A tata wkrótce znowu się ożenił. Upłynęło chyba z pół roku. Niedawno rozwiódł się po raz trzeci. Podejrzewam, że nie znosi swojego towarzystwa.

- Nie układa się między wami?

Roześmiał się gorzko, po czym spojrzał w okno.

- Ano nie. Tak by to należało ująć. Nie chciał, żebym poszedł na medycynę. Uważał, że jako jego pierworodny powinienem przejąć firmę rodzinną. Chyba do tej pory mi nie wybaczył, że nie podporządkowałem się jego woli. Za to ja nie mogę mu wybaczyć, że tak szybko zapomniał o mamie. Mógłby chociaż dłużej odczekać.

- Może chciał ci zagwarantować trochę stabilności? Może był przekonany, że postępuje słusznie? - Położyła mu rękę na ramieniu. - Może nie potrafi o niej zapomnieć i dlatego się żeni?

Przeniósł na nią wzrok, po czym powiódł palcem po jej policzku.

- Ach, Rose, ty zawsze starasz się dostrzec w każdym coś dobrego. Kiedy zrozumiesz, że mało jest takich dobrych ludzi jak ty?

- Ej, nie rób ze mnie świętej - obruszyła się. - Mam nadzieję, że nie jestem taka nudna.

- Zdecydowanie nie jesteś nudna. - Wstrzymała oddech, bo ujął jej twarz w dłoń, by spojrzeć w oczy.

Czuła, że ją pocałuje. Serce waliło jej jak oszałałe.

Opuściła powieki w oczekiwaniu. Było to delikatne muśnięcie, niczym skrzydłem motyla. Otworzyła oczy.

- Chodź, pójdziemy teraz do głównego budynku. Sprawdzimy, czy zanosi się na jakąś kolację. Jak nie, pojedziemy do pubu w miasteczku. Odpowiada ci?

Co się stało? Błędnie zinterpretowała wysyłane przez niego sygnały? To bardzo prawdopodobne. Po raz kolejny otrzymała znak, że nie ma pojęcia, jacy bywają mężczyźni pokroju Jonathana. Była głęboko rozczarowana.

W jej spojrzeniu wyczytał niepewność. Oby się nie domyśliła, że tylko heroicznym wysiłkiem woli odsunął się od niej. Po raz pierwszy w życiu zapragnął się nie spieszyć, bo Rose stawiała się dla niego zbyt ważna, by ją ponaglać. Będzie uwodził ją niespiesznie, żeby było pięknie, bo Rose nie jest kolejną kobietą, z którą się prześpi.

Miał niejasne przeczucie, że oto znalazł swoją drugą połowę. To odkrycie napawało go strachem. Czuł, że na miłość Rose trzeba zapracować, więc on musi zrobić wszystko, aby jej nie zranić, nim pozwoli, by sprawy posunęły się dalej. Stłumił jęk. Nigdy wcześniej nie myślał o przyszłości u boku kobiety, ale zanosiło się, że spotkał tę, która odmieni jego życie. Przeróżające.

Do rezydencji był kawałek drogi. Rose ujrzała ją, dopiero gdy wyszli z za zakrętu. Osłupiała na widok okazałej neoklasycystycznej budowli z ozdobną, ale pełną wdzięku fasadą z licznymi oknami. Tam jest z dziesięć sypialni, pomyślała.

- Piękna - wyszeptała. - Niesamowita.

- Możliwe - odparł z wahaniem. - Dla mnie to dom, w którym się wychowałem.

Przez rzeźbione drzwi weszli do holu.

- Jest tu kto?! - zawołał. - To ja, Jonathan! - Odpowiedziało mu tylko echo. - Pani Hammond, nasza administratorka, pewnie siedzi w biurze. Zajrzyjmy do kuchni. Mary się stamtąd nie rusza. Pewnie ucięła sobie drzemkę. Ojciec już lata temu chciał ją wysłać na emeryturę, ale ona nie chce o tym słyszeć. - Wzruszył ramionami. - Powiada, że oszaleje, jak nie będzie miała nic do roboty. Polubisz ją. Codziennie coś piecze. - Pociągnął nosem. - O, dzisiaj chyba będą babeczki.

Przeszli przez hol, pokonali kilka schodków, a dalej korytarz, na który wychodziło wiele drzwi.

- Za czasów moich dziadków - mówił - to skrzydło było dla służby. Było ich co najmniej dwadzieścioro. Teraz na stałe mieszka tu tylko pani Hammond i Mary. Co rano przyjeżdżają tu dwie kobiety do sprzątanía. Większość pokoi stoi zamknięta. Otwarte są tylko te, z których korzysta ojciec, chyba że ma gości. Wtedy zatrudniamy ludzi z zewnątrz.

Szli za zapachem pieczonego ciasta, aż na końcu korytarza skręcili do największej kuchni, jaką Rose widziała. Pod jedną ze ścian stała ogromna staroświecka kuchnia węglowa, pośrodku wielki stół z surowego dębu, u na nim góra babeczek, ciasto z marchwi oraz misa obranych warzyw. W rogu pomieszczenia stał fotel. Zgodnie z przewidywaniami Jonathana siedziała w nim Mary, cicho pochrapując.

Podszedł do niej na palcach i delikatnie dotknął jej ramienia. Kobieta coś mruknęła, po czym podniosła powieki. W jej oczach błysnął strach, który natychmiast ustąpił miejsca radości.

- Panicz Jonathan! Ile razy mam powtarzać, żebyś się do mnie tak nie skradał?! Za którymś razem umrę ze strachu. Moje serce jest za stare na takie niespodzianki,

- A ja stale powtarzam, że to stare serce jest jak dzwon.

- Kto to? - zapytała kucharka, z pomocą Jonathana dźwigając się z fotela.

- Rose. Koleżanka.

Mary bacznie się jej przyglądała.

- Koleżanka, tak? Pierwszy raz przywozisz tu koleżankę. Czy ona wie, w co się pakuje? I co na to lord Cavendish?

- Mary, ojcu nic do tego. Rose wyciągnęła do niej rękę.

- Miło mi panią poznać. Nie sędzę, żebym miała sposobność spotkać lorda Cavendisha. To nie taka znajomość, o jakiej pani myśli. - Mimo wszystko czuła się lekko urażona.

- Nie zwracaj, chłopcze, uwagi na moje gadanie. -Mary potargała mu włosy, jakby miał dziesięć lat. - Naszemu Jonathanowi przydałaby się dobra kobieta. Taka, co ma odrobinę serca, a nie takie, z jakimi on się prowadzi - sapnęła z dezaprobatą.

- Włączyć czajnik? - zapytała Rose, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Nie, wynoście się do salonu. Zaraz tam przyjdę z tacą.

- Wolałabym tu zostać, jeśli to pani nie przeszkadza. Bardzo tu przytulnie.

Mary znowu spojrzała na nią spode łba, ale chwilę później chyba zmieniła zdanie, bo kąciki jej warg lekko się uniosły.

- Coś mi się wydaje, że nasz Jonathan nareszcie trafił na dobrą istotę. Żadna z tamtych nie pomyślała, żeby tu zajść i przywitać się ze starą kucharką. - Oczy zaszyły jej łzami. - Nie to, co twoja matka, chłopcze. Żadnych humorów. Tutaj była najszcześliwsza. Siedziała na tym krześle i cała upaprana farbami gawędziła ze mną. Jak naszła ją ochota, to zakasywała rękawy i brała się do pieczenia. I tylko się śmiała, jak twój ojciec ją upominał, że to nie przystoi. - Pociągnęła nosem. - Od kiedy zgasła, nic już nie jest jak dawniej. Niech odpoczywa w pokoju.

Rose nareszcie się dowiedziała, kto jest autorem obrazów w gabinetach i w domu Jonathana. Jego matka była malarką.

Usiadła przy stole, Mary zaś krzątała się przy kuchni.

- Chłopcze, przywitałeś się już z ojcem? - zapytała, kątem oka obserwując Rose.

- Ojciec tu jest? - zdziwił się. - Myślałem, że poleciał do Stanów w interesach.

- Wrócił wczoraj wieczorem. I przywiózł jakąś kobietę. Poinformował mnie, że ta pani zostanie na weekend. Ona już się szarogęsi, jakby to wszystko należało do niej. Pootwieraj wszystkie pokoje! Wezwij do pomocy ludzi z miasteczka! I nie wierzy, jak jej mówię, że same sobie poradzimy. Panią Hammond już owinęła sobie wokół małego paluszka, domagając się więcej służby. Takiego masz ojca - fuknęła. - Nie ma nic gorszego niż stary głupiec.

Rozległ się donośny głos dzwonka. Mary spojrzała na tablicę z numerami pokoi.

- To ona - mruknęła. - Pewnie nie może się doczekać w pokoju dziennym na swoją popołudniową herbatkę. Wezmę się za ten podwieczorek. - Sięgnęła po tacę.

- Mary, usiądź. Mogą chwilę poczekać. - Jonathan przykucnął przy fotelu. - Może jednak oni mają trochę racji, że przydałby się ktoś do pomocy. Byłoby ciżej. O ile wiem, za dnia są tu dwie dodatkowe osoby. Gdzie one teraz są?

- Pojechały do domu. One tylko sprzątają. Mówią, że tylko za to są opłacane. I słusznie. Pani Hammond chce zatrudnić drugą kucharkę, co ma zdrowe nogi i może latać z tacą na górę i z powrotem. - Splotła ramiona na piersi, rzucając mu wojownicze spojrzenie. - Nie ruszę się stąd. Przeżyłam tu całe życie, a jak ktoś chce się mnie stąd pozbyć, to tylko w drewnianym pudle.

Mimo współczucia Rose uśmiechnęła się pod nosem.

- Proponuję, żebyście sobie spokojnie porozmawiali przy herbacie. Jak mi pani powie, co ma być na tacy, to ją zaniosę na górę, wyęcę panią. Przy okazji się przedstawię. Pod moją nieobecność będzie pani mogła opowiedzieć Jonathanowi o tym bólu w klatce piersiowej.

- Jaki ból?! Nic mi nie dolega.

- Owszem, dolega - rzekła Rose łagodnym tonem. -Widziałam, jak przed chwilą, wstając z fotela, rozcierała pani klatkę piersiową. I chyba czasami brakuje pani tchu. Pewnie to nic poważnego, ale warto by się zbadać. - Zrobiła surową minę. - Tym bardziej że, jak sama pani powiedziała, przez najbliższe lata nigdzie się pani nie wybiera.

- Mary, dlaczego mi nie powiedziałaś? - Jonathan ściągnął brwi. - Przecież wiesz, że gdybym wiedział, że mnie potrzebujesz, od razu bym przyjechał.

- Nie słuchaj jej. Ona nie wie, co mówi. - Jednak widząc ich poważne miny, Mary złagodniała. - Dobrze, już dobrze... Jak musisz badać, to badaj. Ale nikomu nic nie mów.

Pod nieobecność Jonathana, który wrócił do stróżówki po stetoskop, Rose pod dyktando Mary ustawiła podwieczorek na tacy.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mam to zanieść.

- Na najwyższe piętro, trzecie drzwi po prawej stronie. - Mary lekko się uśmiechnęła. - Będę wdzięczna, jak przekaże pani tej lady Wydrze, czy jak jej tam, że w mojej kuchni nigdy nie było herbatki z mniszka i nie będzie, póki ja żyję.

Idąc z tacą po szerokich schodach, Rose się uśmiechnęła. Do listy wykonywanych zawodów należy dopisać kelnerowanie.

Drzwi do pokoju dziennego były otwarte, więc kaszlnęła i weszła do środka. W mężczyźnie, który błyskawicznie wstał z fotela, bez trudu rozpoznała ojca Jonathana. Ten sam nos, szerokie usta i gęste ciemne włosy.

- Dobry wieczór... - Uniósł brwi. - Chyba jesteś nowa. Jeszcze się nie znamy. - Głos mężczyzny brzmiał ciepło, ale ku rozpaczy Rose jego wzrok bezczelnie szacował jej sylwetkę.

- Proszę postawić tacę tutaj. - Kobieta, która patrzyła przez okno, odwróciła się i gestem oddaliła Rose. Była o wiele młodsza od lorda Cavendisha, o dwa, trzy lata starsza od Rose.

- Nie jestem nowa. - Rose postawiła tacę na stoliku. - Przyjechałam z Jonathaniem. Bada Mary. Mary nie najlepiej się czuje, więc zaproponowałam, że ją wyreczę.

Przez twarz lorda przebiegł cień zaniepokojenia oraz czegoś jeszcze... zdziwienia?

- Jonathan tu jest? Żeby zbadać Mary? Dlaczego nic mi nie powiedziała? Idę do niej. - Pospiesznie wyszedł z pokoju, zostawiając Rose sam na sam ze swoim gościem.

- Rose Taylor - przedstawiła się.

Kobieta mierzyła ją lodowatym wzrokiem. Najwyraźniej liczyła, ile kosztowało jej ubranie oraz uczesanie, i zastanawiała się, co taka nędza robi u boku syna arystokraty.

- Pracuję w klinice Jonathana. Jestem pielęgniarką. -Po co to powiedziała?

Kobieta kiwnęła głową, jakby coś zostało wyjaśnione.

- Miło panią poznać, panno Taylor. Czy kucharka znalazła herbatkę z mniszka?

Czy ta baba nie słyszała, co jej powiedziano? Po raz pierwszy w życiu Rose powzięła do kogoś zdecydowaną niechęć już po paru zdaniach.

- Niestety, Mary źle się czuje - odparła chłodno. -Przepraszam, ale muszę iść na dół.

W holu zobaczyła Jonathana pogrążonego w rozmowie z ojcem, ale wyczuła między nimi duże napięcie.

- Tato, Mary musi odpocząć. Co najmniej przez tydzień albo nawet dłużej.

- Mówiłem jej to wielokrotnie, ale ona mnie nie słucha.

- Kiedy jej to mówiłeś? Nie było cię tu przez pół roku. Na widok Rose zamilkli.

- Tato, poznaj Rose Taylor - odezwał się po chwili Jonathan. - Rose, to mój ojciec, lord Cavendish.

Musiała się pohamować, by instynktownie nie dygnąć.

- Przepraszam, że zachowałem się tak nietaktownie tam na piętrze - tłumaczył się lord - ale spieszyłem się do Mary i chciałem przywitać się z synem, który... - zerknął na Jonathana - który dawno tu się nie pofatygował.

- Tato, nie tu i nie teraz - uciał Jonathan. Rose domyśliła się, że ich stosunki muszą być bardzo napięte.

- Słusznie, Jonathanie. Przepraszam, poszukam pani Hammond i poproszę ją, żeby znalazła kogoś, kto tymczasowo zastąpi Mary.

- Co jej jest? - zapytała, gdy zostali sami.

- Podejrzewam początki choroby niedokrwiennej. Postaram się, żeby mimo jej protestów przyjęto ją do szpitala na badania. Zagroziłem, że jak się nie zgodzi, wezwę karetkę. Ojciec ma rację. Powinienem tu zaglądać częściej, zwłaszcza pod jego nieobecność.

- Idź i załatw te telefony, a ja z nią pogadam. Jeśli uważasz, że to coś pomoże, poprę cię.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem - powiedział skruszonym tonem. - To miał być dla ciebie przyjemnie spędzony dzień bez pracy.

- Nie mam nic przeciwko temu. Po co są przyjaciele? Żeby sobie pomagali.

Speszył się.

- Tak uważasz? Nie wiem. Do tej pory nigdy nie musiałem polegać na przyjaciółach. Są mi potrzebni, jak chcę się rozerwać, i do tej pory tylko tego od nich oczekiwałem. - Uśmiechnął się. - Rose, jesteś dobrym duchem. Wiesz o tym, prawda?

Hm, ponura sprawa, chociaż dobre i to, że widzi w niej przyjaciela... skoro nie zamierza jej pokochać.

Odszukała Mary na najwyższym piętrze. Siedziała przy oknie z widokiem na ogród. Z ramionami splecionymi na piersi spoglądała na Rose spode łba.

- Jeśli przyszła tu pani namawiać mnie na szpital, to nic z tego. I niech to pani powtórzy Jonathanowi. - Zaciśnęła wargi.

- Ale to tylko na jeden dzień, najwyżej dwa. Na tyle, ile trzeba, żeby przeprowadzić badania. Potem pani tu wróci, chociaż proponowałabym, żeby przeniosła się pani do pokoju niżej, żeby nie chodzić tyle po schodach.

- Ten pokój jest w porządku. Zajmuję go od dnia, kiedy się tu najęłam trzydzieści lat temu i nie widzę powodu, żeby się stąd wyprowadzać. - Gwałtownie zamruwała.

- Mary, o co chodzi? Proszę, niech mi pani powie, czym się pani martwi?

- Jak stąd wyjadę, to już tu nie wrócę. Ta kobieta lorda Cavendisha namówi go, żeby zatrudnił jakąś młodszą. Ja wiem, że ona tak zrobi. Jest tu dopiero dwa dni, ale czuję, że ona już się widzi w roli następnej lady Cavendish.

Aha, to tego boi się Mary. Rose jednak była przekonana, że Jonathan nigdy się na to nie zgodzi.

- Ten dom jest też moim domem - ciągnęła Mary. - Nie mam dokąd pójść. I chcę, żeby wyniesiono mnie stąd w trumnie.

- Mary, od kiedy ukrywa pani te objawy?

- Miesiąc albo dwa. Z początku myślałam, że to niestrawność. Ale potem ból się nasilał, jak wchodziłam po schodach, więc się zorientowałam, że to serce.

- To dlaczego nie zawiadomiła pani Jonathana? Chyba nie wątpi pani, że od razu by przyjechał?

- On i bez moich problemów ma urwanie głowy. - Nachyliła się ku Rose i zniżyła głos. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że on jest doktorem, a nie tym chłopcem, którego znam od dziecka.

Rose przysiadła na sąsiednim krześle.

- Pani chyba bardzo go lubi.

- Biedactwo był malutki, jak umarła matka. Myślę, że w dzieciństwie byłam najbliższą mu osobą. Jak przyjeżdżał do domu, więcej czasu spędzał ze mną przy tym stole niż w swoim pokoju, chyba że bawił się na dworze.

- Gdzie wtedy był lord Cavendish?

- Po śmierci żony szalał z rozpaczy i żeby sobie z tym poradzić, rzucił się w wir pracy. Nie rozumiał, że Jonathan potrzebuje go jeszcze bardziej. Pół roku po śmierci żony przywiózł z Ameryki drugą lady Cavendish. Ale to nie trwało długo. - Wzruszyła ramionami. - Z trzecią żoną rozwiódł się mniej więcej rok temu, a teraz zanoszą się na kolejny ślub.

- Czwarta żona?! - Rose była wstrząśnięta. - To chyba lekka przesada?

- Ba! Zawsze lubił kobiety. - Odwróciła wzrok. - Tak sobie myślę, że on nadal kocha pierwszą lady Cavendish. To była prawdziwa dama. Nie, nie była wysoko urodzona, pochodziła z bardzo skromnej rodziny, ale wiedziała, jak traktować ludzi. - Kościstym palcem Mary wskazała podłogę. - Ta się do niej nie umywa.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do pokoju wszedł Jonathan.

- Jak się ma moja kochana Mary? - zapytał. - Czy Rose cię przekonała, że należy pojechać do szpitala?

Rose odezwała się pierwsza.

- Myślę, że Mary się zgodzi, ale martwi się, że jak stąd wyjedzie, twój ojciec zatrudni na jej miejsce kogoś innego.

Jonathan osłupiał.

- Mary, skąd taki pomysł?! Tak, zgadzam się, że przydałby ci się ktoś do pomocy, ale nikt nie ma zamiaru cię zwolnić. Ten dom by się rozsypał, gdyby nie to, że ty masz pieczę nad nim... i nad nami. Jesteś tu, od kiedy pamiętam. Mary, nie zapominaj, że to jest też twój dom.

Mary na moment się rozpromieniła, ale zaraz ponownie spochmurniała.

- Ale to nie zależy tylko od ciebie, prawda? Na razie decyduje tu twój ojciec, a jeżeli znowu się ożeni, to najważniejsze będą życzenia nowej lady Cavendish.

- Mary, mój ojciec ma wiele wad, ale nigdy się nie zgodzi, żeby ktoś ciebie zastąpił. - Zawahał się. - Nie wiedziałem, że znowu ma zamiar się żenić.

- Nie powtarzaj tego - zastrzegła się Mary. - To nieoficjalna informacja. On nic o tym nie mówi. Ale słyszałam, jak ta kobieta rozmawiała przez telefon. Pro-

siła kogoś, żeby jeszcze nie robił planów na lato, bo ona ma zamiar wydać wielkie przyjęcie.

Jonathan pokręcił głową.

- Zajmę się ojcem, Mary, ale teraz zbieraj się do szpitala. Odwiozę cię, bo już tam na ciebie czekają. Ty się pakuj, a ja przez ten czas pogadam z ojcem. - Zwrócił się do Rose. - Nie wiem, jak cię przeproszać, ale w moim aucie jest miejsce tylko dla dwóch osób. Jeśli poproszę ojca, żeby odwiózł cię na stację, to dalej sama trafisz?

- Oczywiście, nie ma sprawy. - Uśmiechnęła się. - Najważniejsze są badania Mary. Im prędzej, tym lepiej. - Wstała. - Proszę się spokojnie pakować.

Gdy opuścili pokój kucharki, Jonathan w dalszym ciągu kipiał.

- Muszę poszukać ojca. Zaczekasz na dole?

- Przejdę się po ogrodzie. Jeżeli to dla ojca kłopot, to zamów mi taksówkę.

- Ojciec cię odwiezie - odparł z determinacją. - Jedno na pewno można powiedzieć o moim ojcu: ma nienaganne maniery.

Trzymała się blisko domu, na wypadek gdyby jej potrzebowano. Wąskim sklepionym przejściem doszła do niedużego ukrytego ogródka. Aż przystanąła z zachwytem, oszołomiona barwami oraz zapachem kwiatów i rozmaitych ziół. Dostrzegłszy ławeczkę, z której roztaczał się widok na wzgórze, przysiadła na niej.

Nie ulegało wątpliwości, że stosunki między Jonathanem i ojcem nie układają się pomyślnie. Ciekawe, czy Jonathan, wiedząc, że ojciec jest w rezydencji, przywiózłby ją tu albo nawet do swojej stróżówki? Chyba nie. Jak można nie dogadywać się z ojcem? Tym bardziej, że to najbliższa mu osoba. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była skłócona z rodzicami.

Zaczynało do niej docierać, że Jonathan jest bardziej skomplikowany, niż myślała, oraz że z każdą spędzoną z nim chwilą kocha go coraz mocniej.

Przez otwarte nieopodal okno dotarły do niej odgłosy rozmowy.

- Jak śmiesz myśleć o powtórnym ożenku?! - pytał Jonathan podniesionym głosem.

- Nie twoja zasmarkana sprawa, co robię ze swoim życiem. A skoro już mowa o ożenku, to kiedy ty przestaniesz uwodzić każdą napotkaną kobietę i wreszcie się ustatkujesz? Tak nie można. Kiedyś trzeba wziąć na siebie pewne zobowiązania.

- I ty to mówisz?!

Rose wstała, nie chcąc być świadkiem rodzinnej kłótni.

- A ta sztywna osóbką, którą tu przywiozłeś? Sprawia wrażenie rozsądnej. Nie możesz się związać z taką jak ona?

Rose znieruchomiała. Żenujące. Sztywna? Nawet jeśli jest w tym ziarnko prawdy. Z zapartym tchem czekała na ripostę Jonathana.

- Rose? Jako przyszła lady Cavendish? - Roześmiał się sardonicznie. - Jest o niebo lepsza niż te dwie, które ostatnio poślubiłeś. Może trochę sztywna, ale mądra i ma wielkie serce. Zapewniam cię, Rose jest tysiąc razy więcej warta od twoich dwóch ostatnich żon.

- Synu, dlaczego my się ciągle spieramy? - W głosie lorda Cavendisha zabrzmiała nuta smutku. - Przecież wiesz, że cię potrzebuję. Nie ubywa mi lat i coraz mi trudniej zajmować się firmą oraz tą posiadłością.

- Źle się czujesz? Kiedy ostatnio robiłeś badania? - Tym razem w głosie Jonathana zadźwięczała troska.

Rose wyczuła, że pomimo wcześniejszej ostrej wymiany zdań obaj są do siebie bardzo przywiązani.

- Nic mi nie dolega, ale czułbym się jeszcze lepiej, gdybym widział, że masz zamiar się ustatkować. Nie można tak żyć: twoje nazwisko co drugi dzień jest w gazetach, zawsze z inną kobietą. Musisz się ożenić, mieć dzieci. Zanim umrę, chcę wiedzieć, że nasz ród nie wymrze.

- Jak ty ładnie o tym mówisz - zachnął się Jonathan. - I dlatego ożeniłeś się z mamą? Żeby zapewnić sobie spadkobierców? Nie kochałeś jej?

- Nie kochałem? Oczywiście, że kochałem. Nic lepszego niż twoja matka nie spotkało mnie w całym moim życiu.

- I dlatego pół roku po pogrzebie ożeniłeś się powtórnie?

Rose miała dosyć. Na palcach wymknęła się z ogródka. W uszach nadal dźwięczały jej słowa Jonathana. Mądra i dobra, chyba rzeczywiście taka jest. Ale wolałaby, by mówiono o niej również „piękna i ponętna”, mimo że to nieprawda.

Czuła się jak siostra Jonathana, a wcale nie chciała, by tak ją postrzegał. Chciała, by ktoś odkrył, że jest fascynująca i ciekawa, żeby odkrył to Jonathan.

Jeśli nie ma szansy na przyszłość, będzie żyła teraźniejszością. Dlaczego nie? Co ma z tego, że żyje na pół gwizdka? Zagotowało się w niej. Sztywna! Ona im pokaże sztywną! Potrafi być fascynująca i interesująca, a z odrobiną pomocy, być może trochę większą odrobiną, nawet seksowna.

Poczuła się tak, jakby z głębokiego snu obudziła ją nagle świadomość, że jej dni mogą być policzone. Teraz, nim będzie za późno, musi cieszyć się życiem. Kto pokaże jej to życie lepiej niż Jonathan Cavendish? Jemu serca na pewno nie złamie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nie mogę się doczekać. Myślisz, że tam będzie dużo sławnych ludzi? - niecierpliwiała się Jenny.

Jonathan poinformował je, że wykupił cały stół na dorocznym balu dobroczynnym i że wszystkich zaprasza. W pierwszej chwili Rose chciała się wymówić, ale zmieniła zdanie. Co jej szkodzi? I chociaż czuła, że słono przyjdzie jej za to zapłacić, nie potrafiła odmówić sobie tych kilku godzin z Jonathanem.

- Podejrzewam, że będzie tam parę ważnych osób. -Entuzjazm Jenny ją rozbawił.

- To znaczy, że musimy kupić sobie jakieś ciuchy -stwierdziła Jenny. - A ty musisz pójść do fryzjera. -Wyjęła komórkę. - Polecam mojego. Jest super. Od razu będzie wiedział, co zrobić z twoimi włosami.

- Nie podobają ci się moje włosy? - obruszyła się Rose, popatrując na koleżankę z powątpiewaniem, bo po pracy Jenny starannie burzyła „służbowe” uczesanie.

Jeśli Jenny myśli, że Rose uczesze się na punka, to czeka ją duży zawód.

- Chciałabym mieć twoje włosy - westchnęła Jenny. - Ale uczesanie masz niemodne. Nie obraż się... - Jenny zmarszczyła nos - ale dobrze by było cię uaktualnić. Na przykład ten twój ukochany sweter nadaje się do kosza.

- Odczep się od niego. Jest ciepły i miutki - zaprotestowała Rose.

- Wyglądasz w nim jak w worku - ciągnęła Jenny. - Rose, chyba nie chcesz wyglądać jak ciotka stara panna. Na pewno nie w tak eleganckim towarzystwie. - Gestem uciszyła Rose. - Nie sprawisz mi zawodu, już ja się o to postaram.

Bezguście? Ciotka stara panna? Lista obraźliwych określeń się wydłużała. Do niedawna nikt nie zgłaszał zastrzeżeń do jej wyglądu. Ani nie prawił komplementów. Ale się tym nie przejmowała. Zawsze powtarzała sobie, że nie szata

zdobi człowieka. Ale teraz jesteś inną Rose, upomniała sama siebie. Tą, która postanowiła wydostać się ze skorupy. Przecież obiecała sobie, że spróbuje różnych rzeczy. Nowy wizerunek może być jedną z nich.

W sobotę po południu fryzjer Jenny uczesał ją modnie, asymetrycznie, nie skracając włosów, z przedziałką z boku, tak że włosy opadały jej na twarz. Musiała zdmuchiwać je z policzka, by cokolwiek zobaczyć, ale Jenny orzekła, że to nieważne, bo wygląda szykownie i tajemniczo.

Jednak nie tylko z powodu włosów miała problemy z widzeniem. Jenny nie zgodziła się na okulary i zaciągnęła ją do optyka. Teraz Rose miała soczewki kontaktowe. Po kilku próbach udało jej się je włożyć, więc mrugała rozpaczliwie, a łzy ciekły jej po policzkach. Postanowiła wytrwać do chwili, kiedy trzeba będzie zrobić makijaż. Jeśli do tej pory się nie sprawdzą, włoży okulary. Nie pokaże się z zaczerwienionymi oczami, jakby płakała przez cały dzień.

Po kilkugodzinnej wędrówce po sklepach Rose w końcu zdecydowała się na suknię w dwóch odcieniach czerwieni z szeleszczącą tkaniny.

- Uau! Nie wiedziałam, że pod tymi koszmarnymi strojami ukrywasz taką figurę - zachwyciła się Jenny. - Nawet gdybym się odchudzała przez cały rok, to nie osiągnęłabym takiej figury. Dlaczego ty tak się zasłaniasz?

- Jestem za chuda - odpowiedziała jej Rose. - Skóra i kości. W szkole przezywali mnie Tyka, a niektórzy nauczyciele podejrzewali o anoreksję.

Teraz nagle kompleksy związane z wyglądem wydały się jej nieuzasadnione. Jenny ma rację. Ta suknia dokonała cudu. Po raz pierwszy w życiu Rose poczuła się efektowna.

- Nie wyobrażaj sobie, że się wykręcisz od nowej bielizny - ostrzegła ją Jenny. - To są majty dla ciężarnych?

- Odczep się od mojej bielizny - mruknęła Rose. - Owszem, są bardziej praktyczne niż seksowne, ale kto ma je oglądać?

- Nie chodzi o oglądanie, jak ty to nazywasz. Przynajmniej nie do końca. Jak nie czujesz się seksy pod ubraniem, to jak masz wyglądać seksy?

Rose się roześmiała i potulnie dała się zaprowadzić do butiku z bielizną i namówić na kupno koronkowego kompletu. Chyba jeszcze nigdy nie wydała na siebie tak dużo. Tym bardziej że, pomyślała ze smutkiem, nie wiadomo, czy nadarzy się druga taka okazja. Dotychczasowe oszczędzanie każdego pensa na czarną godzinę wydało się jej ćwiczeniem pozbawionym większego sensu. Chorobie może zawdzięczać, że uwolniła ją od drobnych trosk dnia codziennego.

Kończąc makijaż zgodnie ze wskazówkami wizażystki z działu kosmetyków, uznała, że daleko jej do sztywnej osóбки. Zachichotała. Powinna jeszcze w jednej ręce trzymać cygarniczkę, w drugiej kieliszek z szampanem, a wyglądałaby jak Mata Hari.

Szeleszcząc, zeszła na dół. Na jej widok ojciec aż zagwizdał.

- To na pewno moja córeczka? - Wyraźnie się wzruszył. - Taka dorosła i taka piękna?

Z dnia na dzień był silniejszy, więc stopniowo nabierała przeświadczenia, że niedługo rodzice poradzą sobie bez niej. Zrobiło się jej nieco lżej na sercu.

- Tak, tato, to ja. Mnie też trudno w to uwierzyć.

- Ty promieniejesz - stwierdziła z uznaniem matka.

- To z powodu tego przyjęcia, czy kryje się za tym coś więcej?

Żeby matki nie martwić, w jej obecności starała się myśleć wyłącznie o tym, co sprawia jej radość. Na przykład o Jonathanie, który tym razem uparł się, że wyśle po nią samochód. Protestowała, tłumaczyła, że może pojechać metrem, ale postawił na swoim.

- Jesteście moimi gośćmi, więc nie dopuszczę, żebyście tłukli się metrem albo autobusami. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Dziecko, poddaj się z godnością. Chociaż raz.

Tym bardziej nie spodziewała się zobaczyć go w swoich progach. Gdy mu otworzyła, stanął przed nią w smokingu i pod muchą, po czym szarmancko się uklonił.

- Ho, ho, wyglądasz oszałamiająco.

Zrobiło się jej ciepło koło serca. Może to tylko uprzejmość, pomyślała, ale jego spojrzenie temu przeczyło.

- Ty też nieźle się prezentujesz.

- Wejdę, żeby przywitać się z twoimi rodzicami.

- Mijając ją, dotknął jej ramienia. - Zdajesz sobie sprawę, że będzie tam kilka kobiet, które mają przewrócone w głowie?

Kilka minut porozmawiał z rodzicami, po czym zaprowadził ją do czekającej limuzyny, w której już siedziała rozgorączkowana Jenny oraz Vicki z mężem.

Dla Rose była to kompletna nowość, bo fotele znajdowały się po bokach i był tam niewielki barek, z którego Jonathan wyjął schłodzonego szampana. Otworzył go teatralnym gestem i rozlał do kieliszków, po czym wznosił toast.

- Życzę nam udanego wieczoru. I nie zapominajmy, że to wszystko w dobrej sprawie.

- Strasznie się cieszę, że cię widzę - zwróciła się Rose do Vicki, gdy ta przedstawiała jej swojego męża Russella.

- Jak się czujesz?

- Dużo lepiej. Nie wiem, jak długo wytrzymam, ale nie mogłam odpuścić takiej okazji. Moim zdaniem to najciekawsza impreza w roku. Jedyny raz, kiedy można zaszaleć. - Uniosła kieliszek z sokiem pomarańczowym. - Jonathan, wystawisz się na licytację jak poprzednio?

- Wolałbym nie. W tym roku umówiłem się z organizatorkami, że mi darują, a w zamian zobowiązałem się zaoferować najwyższą stawkę za innego z gości.

- Licytujecie ludzi? - zdumiała się Jenny. - Jak to?

- Każdego roku organizatorzy proponują kilku kawalerom, żeby zgodzili się wystawić na licytację randkę - wyjaśniła Vicki. - Faceci paradują na wybiegu, a kobiety ich licytują. Tak to wyglądało w zeszłym roku. O co ci chodzi? - Spojrzała na Jonathana, który energicznie kręcił głową, ale się nie przejęła. - Niemal

doszło do zamieszek - ciągnęła. - Prowadząca poprosiła Jonathana, żeby zdjął koszulę, ale zostawił krawat. Nie bardzo mógł się nim zasłonić. - Zachichotała.

Jonathan milczał zażenowany, a Rose o mało nie zakrztusiła się szampanem.

- Kto wygrał? - zainteresowała się Jenny.

- To było najlepsze. Jedna z leciwych siostr przelożonych. Trzeba było widzieć jej radość, kiedy dowiedziała się, że przebiła wszystkie pozostałe.

Wszyscy się roześmieli, nawet Jonathan.

- Licytowała z myślą o swojej córce - wyjaśnił. - Nie wiem, kto był bardziej speszony, ona czy ja. Nigdy więcej nie wezmę w tym udziału. Nie ma mowy.

Impreza odbywała się w jednym ze znanych hoteli, ale Rose nigdy tam nie była.

Gdy wysiadali z limuzyny, otoczył ich tłum fotoreporterów.

- Jonathan, tutaj, tutaj! - krzyczeli.

Rose cofnęła się w głąb auta. Nie była na to przygotowana. Nie miała ochoty, by ją fotografowano, mimo że to nie o nią im chodziło. Ale nie doceniła Jonathana. Gdy pozostali ruszyli do hotelu, wskoczył z powrotem do limuzyny i zatrzasnął drzwi.

- Co się stało?

- Nie wysiądę - szepnęła. - Nie chcę, żeby mnie fotografowali.

- Mnie to też nie sprawia przyjemności, ale jedyne wyjście to pozwolić im zrobić kilka zdjęć i odejść.

- Nie mogę.

- Możesz. Oni chcą mieć zdjęcie pięknej kobiety, która tu ze mną przyjechała.
- Westchnął. - Głupio zrobiłem. Gdybym przewidział, że tak bardzo nie lubisz ściągać na siebie uwagi, przyjechałbym osobno. Ale trudno, stało się. Im bardziej

będziesz się chować, tym bardziej będą natrętni. Nie mamy innego wyjścia, jak stawić im czoło. Rób to co ja, a za parę minut będzie po wszystkim, okej?

Przytaknęła, po czym z wysoko uniesioną głową wysiadła.

- Kim jest pana towarzyszka? Czy to coś poważnego? Zamierza się pan ożenić?

- Panowie, dajcie nam spokój - odparł spokojnie. - Pani Taylor należy do grona moich gości.

- Czy to znaczy, że zerwał pan z Jessamine Gold-smith?

- Przyjaźnimy się i nigdy nic więcej nas nie łączyło.

- Czy to prawda, że to ona z panem zerwała, bo się jej pan nie oświadczył?

- Bzdura. Przepraszam, panowie, goście na mnie czekają.

- Pani Taylor, proszę nam coś powiedzieć o sobie. - Reporter podsunął jej mikrofon pod nos tak, że niemal się potknęła. Jonathan błyskawicznie ją podtrzymał, drugą ręką odtrącając mikrofon.

- Nie zatrzymuj się - szepnął jej do ucha. - Zajmę się nimi.

- Nie trzeba - odparła z podniesionym czołem. - Poradzę sobie. - Wzięła głęboki wdech, po czym posłała reporterowi promienny uśmiech. - Niewiele się pan dowie. Pracuję z doktorem Cavendishem, jestem pielęgniarką. Przyjechałam tu z resztą jego personelu. Domyślam się, że chcielibyście poznać cel tego przyjęcia.

Kątem oka zauważyła wyraz zaskoczenia na twarzy Jonathana, które ustąpiło miejsca aprobacie. Wcześniej zapoznała się w internecie z działalnością tej organizacji dobroczynnej. Powoli zmierzając do wejścia, z uśmiechem na ustach zasypała ich informacjami na ten temat. Ta taktyka okazała się skuteczna, bo gdy zatrzymał się kolejny samochód, reporterzy pognali do nowo przybyłych.

Gdy weszli do sali, Jonathana otoczyli znajomi, więc odszukała wzrokiem Jenny oraz Vicki i podeszła do zarezerwowanego dla nich stołu.

- Doliczyłam się już dziesięciu sławnych osób. - Jenny aż podskakiwała z emocji. - Gdzie nie spojrzę, same znajome twarze. - Skinęła głową w róg sali. - Tydzień temu widziałam ją w kinie. Ona jest jeszcze ładniejsza niż na filmach! A jaką ma suknię...

Rose dostrzegła w tłumie lady Hilton. Mimo że wargi miała rozciągnięte w uśmiechu, Rose się zorientowała, że jest smutna. Kiedy myślała, że nikt na nią nie patrzy, uśmiech zniknął, a na twarzy pojawiały się zmarszczki.

Rose ruszyła w jej stronę.

- Dobry wieczór - szepnęła jej do ucha. - Jak się pani miewa?

- Ach, to ty, drogie dziecko. Nie wiedziałam, że tu będziesz. Cieszę się, że cię widzę. - Radosny ton jej głosu nie zmylił Rose.

- Jak się czuje lord Hilton?

- Tak samo jak wtedy, kiedy go ostatnio widziałas. Zgodnie z obietnicą Rose regularnie jeździła do ich rezydencji, by czuwać przy jej małżonku.

- Kazał mi tu przyjechać - ciągnęła lady Hilton - mimo że powiedziałam, że wolę zostać z nim, ale nie chciał o tym słyszeć. Mówi, że Hiltonowie od dwudziestu lat nie opuścili tej imprezy, więc nie wypada, żeby nas teraz tu zabrakło. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie masz pojęcia, ile ci zawdzięczamy. Bez twojej pomocy Giles nie mógłby zostać w domu. Szczęściarz z tego Jonathana. Teraz z Gilesem jest Goodall, a ja wyjdę zaraz po licytacji. - Rozejrzała się po sali. - Gdzie Jonathan? Muszę z nim porozmawiać.

- Może by się pani do nas dosiadła? - zaproponowała, ale natychmiast się zawstydziała, bo przecież lady Hilton ma tu swoich znajomych. Jednak ku jej zdziwieniu lady Hilton z wyraźną ulgą przyjęła zaproszenie.

- Dziękuję, kochana. Z przyjemnością. Oszczędzi mi to odpowiadania na pytania o Gilesa zadawane w dobrej intencji, ale przychodzi mi to coraz trudniej.

- Chodźmy zatem. Jest z nami Vicki i jej mąż. Lady Hilton serdecznie przywitała się z Vicki, za to Jenny oniemiała po raz pierwszy, odkąd Rose zawarła z nią znajomość. Rose zagryzła wargi, by się nie uśmiechnąć, gdy recepcjonistka dygnęła przed lady Hilton, a potem oblała się rumieńcem.

- Licytacja rozpocznie się przed kolacją i będzie trwała w jej trakcie - poinformowała ich Vicki. - Pod każdym menu jest lista przedmiotów wystawionych na licytację.

Rose otworzyła folder. Samochody, tygodniowe pobyty na prywatnych wyspach, przeloty prywatnymi odrzutowcami, diamenty, obrazy oraz randka z jednym z najznamienitszych kawalerów. Było jej trochę przykro, że na nic jej nie stać, że będzie zmuszona tylko siedzieć i patrzeć.

- Co zamierzasz licytować? - zagadnęła ją pani Hilton. - Bo ja chyba zdecyduję się na któryś z obrazów. Zawsze tak robię, a potem wystawiam ten obraz na licytację w następnym roku. Mamy zdecydowanie za dużo obrazów.

- Niestety na nic mnie nie stać - odparła Rose.

- Sophia! Co za niespodzianka! - usłyszała za plecami głos Jonathana.

- Zająłam twoje miejsce? Jeśli tak, to wrócę do swojego stołu. Jestem pewna, że Rose wolałaby siedzieć obok ciebie niż obok starszej pani. - Przeniosła wzrok na Rose. - Pięknie wygląda, prawda?

- Oczywiście - odparł Jonathan. - Bez wątplenia nie dorównuje jej żadna kobieta w tej sali.

Poczuła, że się czerwieni. Była jednak przekonana, że Jonathan wypowiada się w ten sposób o wszystkich paniach.

- Nie, Sophio, przez najbliższą godzinę nie skorzystam z tego miejsca, bo lady Sommendlle koniec końców wrobiła mnie w licytację spotkania z kawalerem.

- Taką, o jakiej Vicki opowiadała w samochodzie? - wyrwało się Jenny. Z trudem oderwała wzrok od przechodzących nieopodal aktorek, modelek i gwiazd muzyki pop. - Taką, w której pan doktor miał już nigdy nie brać udziału?

Jonathan westchnął ciężko.

- Staralem się jej wytłumaczyć, że wpłacę drugie tyle, ile wyniesie najwyższa stawka, ale nie dała się przekonać. Powiedziała, że musi mieć komplet kawalerów, a ja w zeszłym roku przysporzyłem jej najwięcej środków.

- Gdybym miała taką kasę, na pewno bym na pana postawiła - oznajmiła Jen-ny.

- Nie zapominaj, że chodzi o szlachetny cel - upomniała go lady Hilton.

Pod przeciwną ścianą jakaś kobieta dawała im rozpaczliwe znaki.

- Aha, kolej na mnie. Życie mi szczęścia. - Rzucił im łobuzerskie spojrzenie.

- Powinnaś na niego postawić - lady Hilton zwróciła się do Rose. - Przydałaby mu się zacna kobieta, która pomogłaby mu się ustatkować. Wiem, że jego ojciec bardzo się o niego martwi.

Jonathan i ona? Niewyobrażalne. Kto jak kto, ale lady Hilton powinna zdawać sobie z tego sprawę.

- Myślę, że do siebie nie pasujemy - odparła uprzejmie.

- A to dlaczego? Nie podoba ci się? Po śmierci ojca odziedziczy tytuł. Połowa kobiet z tej sali natychmiast skorzystałaby z szansy zostania lady Cavendish. - Popatrzyła za Jonathanem. - Jakże on ma wady?

- Żadnych - zapewniła ją Rose. - To ja nie mam kwalifikacji, by zostać panią na lordowskich włościach. - Co gorsza, nie ma przed nią żadnej przyszłości, ale o tym nie będzie rozmawiać.

- Dziecko, wygadujesz bzdury. Jeśli myślisz, że to dlatego, że ty jesteś z ludu, a on jest arystokratą, to się mylisz. Jego matka, pierwsza żona lorda Cavendisha, też nie była szlachetnie urodzona. Czasy się zmieniają i powiedziałabym, że na lepsze. - Zadumała się. - Myślę, że jego ojciec w dalszym ciągu nie może się pogodzić ze śmiercią pierwszej żony. Była miłością jego życia.

- Dlaczego umarła?

- Jonathan miał pięć lat. Wyobraź sobie, że przyczyną zgonu było zapalenie płuc. Dzieciak był załamany, a ojciec w tych najtrudniejszych chwilach wysłał go do szkoły z internatem. Jonathan chyba do tej pory mu tego nie przebaczył i ma mu za złe, że w porę nie zauważył, jak ciężko chora jest jego matka. - Westchnęła. - Czy małe dziecko jest w stanie zrozumieć, że zsyłka do internatu nie jest karą za jego przewinienia? Że to ojciec nie potrafi poradzić sobie ze swoimi

emocjami? Że widok ich dziecka sprawia mu niewysłowny ból? Tak się to wtedy załatwiało. Nie twierdzę, że słusznie. Potem, pół roku później, Cavendish ożenił się ponownie. Podejrzewam, że czuł się osamotniony, ale Jonathan tego też nie potrafi mu wybaczyć.

Tak, to wyjaśniałoby ich napięte stosunki.

- Dlaczego lord Cavendish nie powiedział dziecku, co czuje?

Lady Hilton wzruszyła ramionami.

- Moja droga, mężczyźni o takich rzeczach nie rozmawiają. Przynajmniej nie rozmawiali w tamtych czasach. Tak, dzisiaj wypada mówić o emocjach, nawet do znudzenia, ale Jonathana i lorda Cavendisha wychowano inaczej.

Rose serdecznie współczuła małemu Jonathanowi. Jaki wpływ na małe dziecko może mieć taka zsyłka w obce miejsce? Ją od samego początku otaczała rodzicielska miłość, od samego początku czuła, że rodzice zrobią wszystko, aby była szczęśliwa.

Sala stopniowo się uciszała, bo na wybiegu pojawiła się kobieta o krótko ostrzyżonych platynowych włosach.

- To jest Julia Tenant - wyjaśniła lady Hilton. - W latach sześćdziesiątych była modelką. Jej ojciec miał niebywałą fortunę, większą niż lord Cavendish. Wyszła za mąż z miłości i jest szczęśliwa. Pomaga lady Sommerville organizować aukcje. Przez lata we dwie zebrały setki tysięcy funtów.

- Naszą imprezę zaczniemy od licytacji kawalerów - oświadczyła pani Tenant po krótkim wstępie, w którym przedstawiła cel zbiórki. - Dzisiaj mamy pięciu panów. Wszyscy są chętni podjąć panie, do których los się uśmiechnie. Dziewczyny, nie skąpcie grosza!

W sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy utkwili wzrok w wybiegu.

Pierwszy kawaler był tenisistą. Przymaszerował nonszalanckim krokiem, odziany tylko w spodenki do tenisa. Rose odniosła wrażenie, że jest piekielnie speszony. Gdy napiął ramię w forhandzie, na sali rozległy się gwizdy uznania.

- Kto zacznie? No, drogie panie, nie wstydźcie się! Sto funtów?

Zakołysał się las rąk.

- Sto pięćdziesiąt! - zawołała siedząca nieopodal Rose kobieta, wymachując plikiem banknotów.

- Dwieście!

Przy czterystu funtach prowadząca dodała, że tenisista ma dwa bilety na czerwcowy turniej na Wimbledonie. Stawka podskoczyła do pięciuset. Dziewczyna, która w ten sposób ostatecznie przebiła rywalki, nie posiadała się z radości.

Trzech następnych zlicytowano bardzo szybko. Rose z całego serca współczuła pewnemu wyraźnie przerażonemu arystokracie, którego zlicytowano zaledwie za dwieście funtów. Ostatni był Jonathan. Bez koszuli. Przechadzał się po wybiegu w smokingu oraz muszce, eksponując ładnie umięśniony tors. Na jego wargach błąkał się pewny siebie uśmiezek. Rose przeszył dreszcz. Jonathan to najseksowniejszy facet na świecie.

Licytacja zaczęła się od trzystu funtów i szybko osiągnęła pięćset.

- No, drogie panie, stać was na więcej. Jonathan to najbardziej pożądany kawaler w całym Londynie. O ile się nie mylę, aktualnie w jego życiu nikogo nie ma.

Stawka podskoczyła o sto funtów, a nawet wyżej.

Niespodziewanie lady Hamilton podniosła rękę.

- Tysiąc funtów.

Rose rzuciła jej zdumione spojrzenie. Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy starsza pani puściła do niej oko.

- Tysiąc funtów. Sprzedany lady Hilton - oznajmiła uradowana Julia Tenant. - To nowy rekord.

Jenny i Vicki wpatrywały się w lady Hilton, która pochyliła się do Rose.

- Wylicytowałam go dla ciebie.

- Dla mnie?! - wykrztusiła Rose, przekonana, że lady Hilton postradała zmysły. - Dlaczego?

Lady Hilton poklepała ją po ręce.

- Bo uważam, że jesteście dla siebie stworzeni. Nawet jeśli on jeszcze o tym nie wie.

Lady Hilton jest w błędzie, bo ona, Rose, nie jest partią stulecia. Nawet gdyby miała przed sobą jasną przyszłość, to kto by ją zauważył? Na pewno nie taki facet jak Jonathan. Posmutniała. W jego towarzystwie czuła się doskonale, ale za kilka tygodni to się skończy.

Wróci do Edynburga, podejmie decyzję w kwestii operacji. Wróci do szarego pustego życia. Kiedyś była szczęśliwa, ale teraz już wie, że jest skazana na szary samotny żywot bez niego.

Niespodziewanie znalazł się tuż obok.

- No, łaska boska, że już po wszystkim - zauważył. - W przyszłym roku postawię na swoim. Sophio, serdeczne dzięki, że zamknęłaś licytację. Dokąd mam cię zabrać? Na wyścigi? Na mecz polo? Wiem, że lubisz jedno i drugie.

Lady Hilton uśmiechnęła się chytrze.

- Bardzo chętnie gdzieś bym się z tobą wybrała, ale myślę, że przez jakiś czas nigdzie się nie wybiorę. - Odwróciła głowę, ale Rose dostrzegła łzę, która potoczyła się po jej policzku. - Scedowałam moją randkę na Rose. Ona ciężko pracuje, a do tego nas dogląda. Nie sędzę, że wyścigi albo polo to dla niej taka wielka atrakcja. Postaraj się wymyślić coś bardziej... - Zawahała się. - Coś, co będzie bardziej odpowiadało Rose.

Rose poczuła się skrepowana. Jonathan otrzymał polecenie zajęcia się nią, jakby była siatką z zakupami albo pupilkiem, którego należy wyprowadzić na spacer.

- Nigdzie nie musisz mnie zapraszać - szepnęła mu do ucha. - Możemy udawać, że tak będzie, żeby nie sprawić jej przykrości.

Uśmiechnął się.

- O nie. Ja z niczego się nie wycofuję. - Poczwała na szyi jego ciepły oddech. - I podejrzewam, że ty też łatwo się nie poddajesz. Ale teraz... - podał jej rękę - zatańczymy?

Jak we śnie szła z nim na parkiet. Dzięki Bogu krok walca nie sprawiał jej trudności. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie z matką i ojcem, we troje, tańczyli do muzyki Mozarta i Straussa. Kto by pomyślał, że przyda się jej to w takiej scenerii?

Jonathan obejmował ją mocno, a ona ciągle miała przed oczami jego tors, opalony i umięśniony. To zapewne efekt regularnego grania w polo. Gdy spojrzała mu w oczy, krew szybciej zatętniła jej w żyłach. Psiakrew, dlaczego musiała się w nim zakochać?! I dlaczego jej przyszłość musi być taka niejasna?!

- Nie ma w tej sali piękniejszej od ciebie - szepnął jej do ucha. - Jesteś niezwykła.

Jeśli on uważa, że może się nią bawić, to się grubo myli. Nieważne, co do niego czuje.

Odsunęła się lekko, by widzieć jego twarz.

- Czego ty ode mnie oczekujesz?

- O co ci chodzi? - Wirowali na parkiecie.

- Zapewniam cię, że nie jestem w twoim typie. Ściągnął brwi.

- Nie sądzisz, że to ja o tym decyduję? Rose, wierz mi, jesteś bardzo w moim typie.

Tanecznym krokiem zbliżali się do drzwi. W końcu Jonathan wyprowadził ją na dwór. Otoczył ich oszałamiający zapach róż.

- Ty chyba naprawdę nie wiesz, jaka jesteś piękna.

- Odgarnął jej kosmyk włosów z czoła i uśmiechnął się.

- Nie tylko urodziwa, ale wyjątkowa. Naprawdę. Aż trudno uwierzyć, że nikt jeszcze nie podbił twojego serca.

- Spoważniał. - A może ktoś już to zrobił? Jasne, kretyn ze mnie. Na pewno w Edynburgu ktoś na ciebie czeka. Kochasz go? Możesz go rzucić? Dla mnie. Obiecuję, że nie pożałujesz.

W głowie się jej zakręciło. Niczego więcej nie pragnęła, jak powiedzieć mu, że nie ma nikogo i że z radością pójdzie za nim. I wytrwa przy nim do końca życia. Niezależnie od tego, jak długo by to miało trwać. Ale tego nie powie. Pojęła nagle, że Jonathan ją kocha, ale jednocześnie miała pełną świadomość, że nie może mu zagwarantować optymistycznego, jak w bajce, zakończenia.

- Nie ma dla nas przyszłości.

- Więc jednak kogoś masz.

Wahała się. Nie chciała kłamać ani wyjawiać całej prawdy.

- Nie, nie mam.

- W takim razie nie przyjmuję odmowy. Jestem ci winien spotkanie i czy ci się to podoba, czy nie, spędzimy ten czas razem.

Mimo że się uśmiechał, wyczuła w tych słowach wielką determinację. Powinna go unikać, ale nie potrafiła oprzeć się pokusie. To będzie kolejne wspomnienie chwil spędzonych z Jonathanem.

- Okej, jak chcesz. Spotkajmy się. Trudno to nazwać randką.

- Jak chcę? - mruknął. - Tak, nalegam. Sprawa załatwiona. Najbliższy weekend. Później poinformuję cię kiedy oraz gdzie.

Miarowym krokiem przemierzał pokój, zastanawiając się, co go tak urzekło w Rose. Okej, jest śliczna, ale, na miły Bóg, piękne kobiety to dla niego żadna nowość. Spotykał się nawet z supermodelką. Nie, to nie kwestia urody. To jej osobowość. Do tej pory nie spotkał nikogo, kogo by otaczała tak silna aura determinacji, wrażliwości i naturalności.

Rose ma za nic jego tytuł i majątek. Nie jest nim zauroczona jak większość kobiet. Wręcz przeciwnie, traktuje go tak, jakby nie robił na niej większego wrażenia, czasami nawet z pewną dezaprobatą.

Tak, to o to chodzi. Rose zapewne uważa, że on nie jest zdolny do poświęceń. Ale co w tym złego? Nie jest ważne, żeby dobrze się w życiu bawić? Jeszcze sporo wody upłynie w Tamizie, nim on się ustatkuje. Zadrzał. Słowa „stabilizacja” i „Jonathan Cavendish” kompletnie do siebie nie pasują.

Wystarczy popatrzeć na ojca oraz jego kolejne żony, by nabrać pewności, że małżeństwo to strata czasu. Ojciec ma czelność wyrzucać mu brak odpowiedzialności! Jak potraktował matkę? Jeszcze nie ostygła, a on znalazł sobie nową. I to ma być rekomendacja małżeńskiego szczęścia?

Rose jest inna. Czuł, że jak ona kogoś pokocha, to na zawsze. Ale jej wybawienie musi być tego godzien. Tak, Rose jest wyzwaniem. I to go do niej przyciąga. Do tej pory żadna mu nie odmówiła i teraz też tak będzie. Postara się tak zorganizować tę randkę, żeby na zawsze ją zapamiętała. Aby się przekonała, że nie jest dla niego wyłącznie jedną z jego kobiet. Bankiety na jachtach jej nie kręca, to jasne. Co ona lubi? Powiedziała, że przyrodę. Spacer, lektury w deszczowe dni, gitarę... Co jeszcze? Piknikowanie.

Starając się jej zaimponować, wybrał niewłaściwą drogę! Tym razem pokaże jej, że potrafi być wrażliwy i refleksyjny oraz że potrafi żyć bez szalonych bankietów i tłumów ludzi.

Usiadł w fotelu i przez szklaną ścianę zapatrzył się w nocną panoramę Londynu. W jego umyśle powoli krystalizował się plan weekendu z Rose: zabierze ją tam, gdzie będzie mogła poznać prawdziwego Jonathana.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przyjechał po nią w sobotę rano. Pogawędził z rodzicami, wypił kawę, po czym wdał się z ojcem w drobiazgową analizę wyników kilku ostatnich spotkań piłkarskich.

- Jak będzie pan miał ochotę obejrzeć jakiś mecz, to proszę dać mi znać. Bilety to żaden problem. - Zawahał się. - Lubi pan krykieta? Mam dwa bilety na najbliższy mecz.

Rose jęknęła. Ojciec kocha krykieta. Nawet bardziej niż piłkę nożną. Jak zaczął o brykiecie, to Bóg jeden wie, kiedy skończą. Była uszczęśliwiona poprawą stanu zdrowia ojca. To, że dał sobie radę na meczu piłkarskim, podniosło go na duchu. Każdego dnia był coraz bardziej podobny do jej ojca sprzed udaru. Choćby za to powinna, Jonathana wycalować.

- Panowie, dosyć tego gadania - wtrąciła się matka. - Podobno gdzieś się wybieracie.

Jonathan wstał.

- Wie pan, okna mojego mieszkania wychodzą na stadion Lords. Na następny mecz zapraszam do siebie na lunch. Przez okno w salonie wszystko widać.

Ojciec zerknął na Rose. Domyśliła się, że bardzo by chciał przyjąć to zaproszenie, ale czekał na jej reakcję.

- Tato, decyzja należy do ciebie - powiedziała, nie- , znacznie kiwnąwszy głową. Wolałaby nie mieć długu] wdzięczności wobec Jonathana, a czuła, że coraz bardziej się od niego uzależniają. Nie może z tego wynikać nic dobrego.

- W swoim czasie, chłopcze - odrzekł ojciec.

- Kiedy tylko pan zechce. Wystarczy powiedzieć to Rose. - Wstał. - Odwiozę ją nie za późno.

Odwiezie ją nie za późno? Co on sobie myśli? Mają za Kopciuszka?

- Nie czekajcie na mnie. Niewykluczone, że jak wrócimy, pójde jeszcze do pubu. - Zrobi, co zechce. Zdecyduje po powrocie.

Jonathan nie będzie jej mówił, co ma robić.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, gdy gnali autostradą w kierunku północnym. Nie wiedziała, w co się ubrać ani co ją czeka, wybrała więc prostą letnią sukienkę odpowiednią na każdą okazję. Włosy splotła w warkocz. Poza tym wróciła do okularów, bo nie mogła się przyzwyczaić do soczewek kontaktowych. Ale przez okulary przynajmniej wszystko widziała. Czowała, że panuje nad sytuacją.

- Zobaczysz - odparł tajemniczo. - Nieźle się na-główkowałem, dokąd cię zabrać, ale mam nadzieję, że trafiłem.

- Obojętne gdzie, bylebym była odpowiednio ubrana.

- Nawet w worku będzie ci do twarzy.

Hm. Znowu komplement bez pokrycia. W worku wyglądałaby jak nędzarka. Kogo on chce oszukać?

Po godzinie skręcili z autostrady w wąską drogę wśród pól. Przydrożna tablica informowała, że dojeżdżają do Cambridge.

- Nie wiem, czy ci się tu spodoba - odezwał się - ale pomyślałem, że możemy wynająć łódkę i po drodze wysiąść na piknik. Często to robiłem, jak tu studiowałem, i znam miejsce, gdzie można przycumować.

On się chyba denerwuje, pomyślała z satysfakcją. Spodobał się jej ten przejaw wrażliwości.

- Dobrze, że nie leje jak z cebra - zażartowała. - Chyba jesteśmy niedaleko twojego domu.

- Tak, Cavendish House jest jakieś pół godziny drogi stąd. Nie martw się, gdyby zanosilo się na deszcz, miałem inny plan.

- A piknik? Sam wszystko przygotowałeś? Zmieszany pokręcił głową.

- Zamówiłem u Harrodsa. - Oboje wybuchnęli śmiechem. - Przepraszam, ale bardzo trudno uwolnić mi się od starych nawyków. Rose, jestem pewien, że nie smakowałyby ci nic, co bym sam zrobił.

Zaparkował nad rzeką, nieopodal centrum miasta.

O Cambridge Rose wiedziała tyle, że słynie z uniwersytetu oraz że po rzece Cam można pływać łodziami płaskodennymi.

- Pokażesz mi kolegium, w którym studiowałeś? Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Naprawdę cię to interesuje? Wszystkie wyglądają tak samo.

- Nie wydaje mi się - odparła. - Chciałabym zobaczyć, gdzie pracowali i mieszkali Newton, Darwin i Wordsworth. Oraz inni wielcy. Proszę, zrób mi tę przyjemność.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Skłonił się nisko. - Chodź. Studio-
wałem w Trinity College. Tam też jest wypożyczalnia łódek. Wchodzi się z
głównej ulicy. Zobaczymy, czy portierzy jeszcze mnie pamiętają. Jeśli tak, to
może nawet nam pokażą mój dawny pokój.

- Odniosła wrażenie, że jest bardzo zadowolony, jakby dziwiło go, że ktoś nim się interesuje. - Zaprowadzę cię na Most Westchnień, który łączy starą część St. John's College z nową. - Pchnął ciężkie drewniane odrzwia.

Minąwszy dom stróża, znaleźli się na rozległym podwórku ze wszystkich stron otoczonym pięknymi murowanymi budynkami. Rose nie mogła oderwać oczu od witrażowych okien.

- Uau! - westchnęła. - Gdyby przyszło mi tu studiować, to chyba niczego bym się nie nauczyła, tylko bym siedziała i się gapiła.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Niewykluczone, że to jest godne uwagi. Chyba szybko przestałem to dostrzegać. - Uśmiechnął się rozbijająco. - Podoba mi się, że mogę popatrzeć na Cambridge twoimi oczami. Mam wrażenie, że jestem tu po raz pierwszy.

Serce jej się ścisnęło. Dlaczego on raz po raz mówi takie rzeczy? Aby się łądziła, że może ją pokochać?

- Idziemy. Dalej jest coraz ładniej. - Podcieniami doszli do krytego mostu. Lata pracy utalentowanego kamieniarza, pomyślała. Ojcu bardzo by się podobał, bo tylko rzemieślnik potrafi docenić pracę drugiego rzemieślnika.

- Już rozumiem, dlaczego nazwano go Mostem Westchnień. Bo na jego widok westchnienie zachwytu samo się z piersi wyrywa.

- Nazwano go tak na cześć Mostu Westchnień w Wenecji, ale łączy je tylko to, że obydwa są kryte, nic więcej.

- Nie psuj mi radości. Wyobraź sobie, że sam potrafiłbyś zbudować taki most. - Uśmiechnęła się. - Podoba mi się tak bardzo, że postawiłabym taki sam most u siebie.

- Zerknęła na Jonathana. - Ty żyjesz w takim świecie, w którym za pieniądze można mieć wszystko.

- Nie pochwalasz tego?

- Nie pochwalam ani nie ganię. Po prostu nie potrafię sobie tego wyobrazić. - Była to święta prawda. Ona i Jonathan żyją w dwóch różnych światach. Na dwóch różnych planetach.

- Rose, wcale nie jesteśmy tacy inni. - Ujął ją pod brodę, żeby popatrzyła mu w oczy.

Zaparło jej dech. Co on robi? Stara się ją w sobie rozkochać? Nie wie, że to już się stało? Uchyliła się, czując, że jeśli tego nie zrobi, zrzuci mu ręce na szyję.

- To gdzie jest to twoje kolegium? Jak ono się nazywa? - zapytała, zmieniając temat.

- Trinity College. Tędy. - Zatrzymali się przed budynkiem obrośniętym czymś, co wyglądało jak zwyczajny bluszcz, ale Jonathan wyjaśnił, że jest to winobluszcz wirginijski. Wskazał okna na piętrze. - Pod koniec studiów mieszkałem tam. Z widokiem na rzekę. Chodźmy do kaplicy.

Oczarowana podziwiała witraże, stare ławki, gdzie przy każdym siedzisku stała świeca, kamienną posadzkę na przestrzeni wieków wytartą stopami uczonych mędrców.

- Już się napatrzyłaś? - zapytał półgłosem. Stał nieco z boku, bacznie ją obserwując. Przytaknęła. Im więcej się o nim dowiadywała, tym

bardziej była przekonana, że z nim mogłaby związać swoją przyszłość. Ale przed nią nie było przyszłości. Świadomość, że wkrótce opuści Londyn i być może już nigdy nie spotka Jonathana, nie dawała jej spokoju.

- Ty się tu rozglądaj, a ja przez ten czas przyniosę z auta kosz z piknikiem. A jak już będziesz miała dosyć, czekaj na mnie nad rzeką. Zaraz wracam.

Zwiedzała kaplicę wewnątrz rozdartą. Być może wydarzy się cud, który odsunie od niej widmo śmierci. Na to jednak nie należy liczyć. Ale nawet gdyby ten twór w jej głowie przestał rosnąć, nawet gdyby było jej pisane długie życie, i tak nie będzie mogła mieć dzieci.

Nie wolno jej uzalać się nad sobą. W Edynburgu czeka na nią praca, przyjaciele oraz jej muzyka. Być może będzie przez wiele lat cieszyła się życiem. I to ma jej wystarczyć. Nawet bez dzieci...

Na widok Jonathana dźwigającego kosz piknikowy wybuchnęła śmiechem. Ile osób on zamierza nakarmić? Niemal spodziewała się zobaczyć za nim sznureczek znajomych. Ale nie, było tylko ich dwoje.

- Co tam masz? Zlew? Całą kuchnię?

- Nie wiem, ale cholernie to ciężkie. Ludzie od Harrodsa zadreżali mnie pytaniami, co chcę, a ja nie wiedziałem, więc powiedziałem, że wszystko. Poinformowano mnie, że w koszu będzie wino, talerze i obrus. Podejrzewam, że upchnęli tu kilka stołów oraz krzesła.

- Obyśmy tylko nie zatonęli.

- Na pewno nie zatoniemy. - Postawił kosz na brzegu, wymienił kilka słów z właścicielem wypożyczalni, wtargał kosz do jednej z łódek, po czym pomógł wsiąść Rose.

Płynęli pod zwieszającymi się gałęziami wierzb. Z twarzą zwróconą ku słońcu, przy akompaniamencie delikatnego plusku wody, pomyślała, że od dawna marzyła o takiej właśnie wyprawie. Jonathan doskonale to wyczuł. Przyznała w duchu, że na każdym kroku jest zmuszona weryfikować swoją opinię o nim. Serce jej się ścisnęło. Czy znajdzie siłę go opuścić, gdy przyjdzie na to czas?

- Nie zaśpiewasz mi serenady? - zapytała, mrużąc oczy. - Nie ma tego w programie wycieczki?

- Widać, że nie słyszałaś, jak śpiewam, bo nie robiłabyś mi takiej propozycji. - Uśmiechnął się. - Ty za to możesz zaśpiewać za nas oboje.

- Bez gitary nie umiem. - Speszona pokręciła głową. - Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że za instrumentem mogę się schować. - Ugryzła się w język.

- Dlaczego miałabyś się chować? Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś piękna?

- Ładnie to ująłeś - prychnęła. - Ale schowaj komplementy dla kogoś, kto w nie uwierzy.

- Czy już ci ktoś powiedział, że jesteś nieznośna? Albo że komplementy należy przyjmować z uśmiechem?

- Dziękuję, łaskawy panie. A czy tobie już ktoś powiedział, że masz świetnie opanowaną technikę prowadzenia psychówki?

Roześmiał się, po czym otarł pot z czoła.

- Zrobiło się cieplej, niż zapowiadano. Mogę zdjąć koszulę?

Dzientelmen w każdej sytuacji, pomyślała, bo żaden z jej kolegów i znajomych nie poprosiłby o pozwolenie. Może j ednak nie powinna się zgodzić, bo gdy ujrziała j ego obnażony tors, musiała odwrócić wzrok, by się nie domyślił, co jej chodzi po głowie. E tam, na pewno wie.

- Chcesz spróbować? - zapytał. - To proste.

- Oczywiście.

- Okej, przejdź na moje miejsce.

Ostrożnie ruszyła w jego stronę, ale w pół drogi łódka się zakołysała. Jonathan jednym susem był przy niej, żeby ją podtrzymać. Na moment zabrakło jej tchu.

- Stój na rozstawionych nogach, żeby lepiej łapać równowagę, i pchnij tyczkę, aż dotknie dna. A potem mocno się odepchnij i unieś tyczkę. - Stojąc za nią, prowadził jej ręce. - A jak będziesz chciała sterować, to pchaj tyczką w lewo albo w prawo. Jasne?

Tyczka była ciężka i nieporęczna, więc jego pomoc bardzo się przydała. Wkrótce Rose złapała właściwy rytm.

- Już sobie poradzę - powiedziała. - A ty usiądź.

- Na pewno? To ciężka praca.

- Dam radę. Spadaj i się relaksuj. Przemieszczali się teraz dużo wolniej, zygzakiem od

brzegu do brzegu, ale generalnie rzecz biorąc, płynęli we właściwym kierunku.

- Most, pod którym teraz przepływamy, nazwano mostem matematycznym - poinformował ją Jonathan.

Była to dziwna drewniana konstrukcja nijak nie kojarząca się z matematyką.

- Dlaczego?

- Nie bardzo wiem. Podobno skonstruowano go bez użycia gwoździ, ale pewien matematyk postanowił to sprawdzić. Rozłożył go na części, ale nie potrafił złożyć z powrotem. Musiał skorzystać z gwoździ.

Zapatrzona w niezwykłą budowlę zapomniała unieść tyczkę. Żeby jej nie stracić, z całej siły zacisnęła na niej dłoń. Rezultat był taki, że całkiem niespodziewanie wyładowała w wodzie. Mocno zdezorientowana wynurzyła głowę z zielonkawej toni.

Jonathan tymczasem już wiosłował jej na pomoc.

- Trzeba było mi powiedzieć, że chcesz popływać. Poszukałbym lepszego miejsca. - Podał jej rękę.

Naburmuszyła się, widząc jego szeroki bezczelny uśmiech. Gdy wciągnął ją do łódki, przez chwilę leżała na dnie, łapiąc powietrze jak dopiero co wyłowiona ryba.

- Nic ci nie jest? - zatroskał się.

- Nic poza tym, że czuję się jak idiotka i że wszystko mam mokre. - Spojrzała na niego spode łba, ale nie mogła się nie uśmiechnąć. To nie jego wina, że wygląda to zabawnie.

Wyłowił tyczkę z wody.

- Wracamy?

- Wolałabym najpierw wyschnąć. Nie będę się w takim stanie pokazywać w centrum miasta.

- Miejsce, do którego zamierzałem nas dowieźć, jest kawałek dalej.

Niebawem pomógł jej wydostać się na brzeg. Z kosza piknikowego wyjął biały obrus i go jej podał.

- Trzymaj. Zdejmij mokre rzeczy, a tym się owiń. - Wskazał na kępę drzew. - Tam jest niewielkie zagłębienie. Nikt cię nie zobaczy. Rzeczy wyschną na słońcu.

Coraz gorzej, pomyślała, ale ta propozycja była nie do odrzucenia, tym bardziej że gdyby się uparła wysuszyć sukienkę na sobie, niechybnie by się przeziębiła.

Wyszła z zarośli w białym obrusie niczym w todze, po czym rozłożyła sukienkę na trawie.

Gdy wróciła do Jonathana, odkręcił termos i nalał jej kubek gorącej kawy.

- Pij, to cię rozgrzeje. - Zaśmiał się. - Wyglądasz w tym stroju jak grecka bogini.

Westchnęła. Też mi grecka bogini. Zmokła kura. Podał jej swoją koszulę.

- Zarzuć ją sobie na ramiona, będzie ci cieplej. Okazało się, że koszula sięga jej prawie do kolan, zakrywając wszystko co trzeba, więc wyswobodziła się z obrusa i wytarła nim włosy.

- Obawiam się, że mieliśmy obrus... - mruknęła, rozkładając go obok sukienki.

- Masz zimne nogi - stwierdził, dotykając jej stopy. Gdy delikatnie je masował, Rose raz po raz przeszywał rozkoszny dreszczyk. Nie miała siły odsunąć się, zrezygnować z tych przyjemnych doznań. Słońce przygrzewało, gdzieś dalej śmiały się dzieci... Nawet się jej nie śnił taki scenariusz: oto ona i Jonathan, tylko ich dwoje, jakby byli sobie przeznaczeni, na wieki. Boże, jak los bywa okrutny.

- No, już lepiej. Może byś coś zjadła?

Tak zaschło jej w ustach, że nie była pewna, czy cokolwiek przełknie, więc tylko skinęła głową. Ale gdy zaczął rozpakowywać kosz, stawiając na trawie wino, kieliszki, talerze, sztuce, małe kisze, oliwki, bagietki, sery, zimne mięsa, ślina zaczęła napływać jej do ust.

- Lubisz oliwki? - zapytał, a gdy przytaknęła, włożył jej oliwkę do ust, nie odrywając od niej wzroku, by po chwili powieść palcem po jej wargach.

W głowie jej zaszumiało, gdy pochylał się nad nią, żeby ją pocałować. Przyciągnął ją do siebie, a każdy pocałunek był bardziej namiętny od poprzedniego. Przyłgnęła do niego całym ciałem, napawając się jego ciepłem i siłą.

Przytuleni opadli na koc.

- Jeszcze nie spotkałem takiej kobiety jak ty - szepnął. - Jak to możliwe, że przeżyłem prawie trzydzieści lat, nie znając ciebie. Przez całe życie cię szukałem.

Poczuła chłód na plecach. Nie tak miało być. Nie powinna go kochać, a on jej. To miała być niewinna rozrywka. Zawód miłosny nie wchodził w grę. Za kilka dni na zawsze zniknie z jego życia. Chmura przesłoniła słońce. Zadrzała.

- Zimno ci. - Pomógł jej wstać. - Proponuję resztę dnia spędzić u mnie. Rozpalę w kominku, a piknik dokończymy w łóżku.

Powinna uciekać jak najdalej, ale wiedziała, że nie może. Jeżeli pisana jest jej tylko ta jedna noc, niech tak się stanie.

Zadumany obserwował, jak Rose pakuje rzeczy do kosza. Gdy ukazała mu się w białej tunice, poczuł, że nie ma na świecie kobiety piękniejszej i bardziej pojętej, a gdy przebrała się w jego koszulę i zobaczył jej nogi, jego libido się zagotowało. Rose pod każdym względem przewyższa wszystkie jego poprzednie przyjaciółki. Ku nim pchało go pożądanie, do niej coś znacznie więcej. Czułość, radość z jej towarzystwa, przyjemność z patrzenia na świat jej oczami. To odkrycie poruszyło w nim mieszane uczucia: strach i entuzjazm. Kocha Rose Taylor. Całe życie na nią czekał i od tej chwili już nie będzie takie samo.

Zamknął drzwi sypialni kopniakiem, po czym wziął Rose w ramiona.

- Jeszcze żadnej tak nie pragnąłem jak ciebie, Rose.

Patrzyła mu w oczy przekonana, że cokolwiek przyniosą nadchodzące dni, tygodnie albo miesiące, jej największym pragnieniem jest nigdy nie opuszczać jego objęć.

Jakiś czas później leżeli przed kominkiem, kończąc przerwany piknik.

- Niedługo przyjdzie czas się rozstać - powiedziała cicho, wpatrując się w płomienie.

- Nie musisz. Zostań ze mną.

- Nie mówię o tym wieczorze. Wracam do Edynburga. Tam mam pracę, dom i przyjaciół. Dobrze wiesz, że cokolwiek to jest, długo nie potrwa.

- Jak to? Potrwa tyle, ile zechcemy.

Zalała ją fala smutku. On nie wie, że dla niej każda chwila może okazać się ostatnią. I się nie dowie. Ten potwór w jej głowie może pęknąć w każdej chwili. Jeśli jej nie zabije, może ją skazać na kompletną bezradność. Stałaby się wtedy ciężarem. Tego bała się bardziej niż śmierci.

- Bardzo się różnimy. Ty masz swoje życie, ja swoje. Parsknął gorzkim śmiechem.

- Uważasz, że skoro jestem synem lorda i pewnego dnia odziedziczę ten tytuł, to nie możemy być razem. Rose, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nawet księżęta żenią się, z kim chcą.

- Ale my nie mówimy o ślubie, prawda? Dopiero co się poznaliśmy.

- Poznałem cię na tyle, że wiem, że jesteś moim przeznaczeniem. Nie oczekuję, że ty czujesz to samo. Zdaję sobie sprawę, że muszę cię przekonać, że jestem reformowalny. - Uśmiechnął się krzywo. - Czuję, że imprezy przestały mnie bawić. - Przytulił ją mocniej. - Rose, nie odbieraj mi tej szansy. Jeszcze nie teraz.

Dni mijały. W te wieczory, których nie spędzała u Jonathana, siedziała w swoim pokoju, grając na gitarze i układając teksty nowych piosenek. Był to najszcześniejszy okres w jej życiu... i najsmutniejszy. Czasami, kiedy bolała ją głowa, bała się, że tętniak lada chwila pęknie. Całymi godzinami siedziała wtedy w internecie, szukając informacji o konsekwencjach. Ale wszystkie źródła podawały tylko dwie: paraliż albo śmierć.

Ograniczony wybór. Żyć z dnia na dzień, nie wyjść za męża, nie mieć dzieci, a co gorsza, nie być z Jonathanem. Albo zgodzić się na operację, znając konsekwencje, ale jednocześnie otrzymując szansę na przyszłość, kiedy będzie jej wolno kochać, być kochaną, mieć dzieci, spokojnie się zestarzeć.

Zanim poznała Jonathana, nicnierobienie miało sens, ale teraz zapragnęła więcej.

Jedno było dla niej pewne. Jonathan nie może się o tym dowiedzieć, bo niezależnie od rozwoju wydarzeń jej nie opuści, a ona nie może na to go skazywać. Intuicja mówiła jej, że trwałby przy niej do końca.

Serce podpowiadało jej rozwiązanie, jeszcze nim zaakceptował je umysł. Podda się operacji. Złoży swój los w rękach Boga. Rzuci Jonathana, pokaże mu, że go nie kocha, zniknie z jego życia i wówczas podda się operacji. Jeśli się uda, wróci i wyzna mu całą prawdę. A jak się nie uda? Nie będzie dla niego ciężarem.

- Za tydzień wracam do pracy - oznajmiła Vicki. — Nie masz pojęcia, o ile lepiej się czuję, od kiedy przeszły mi mdłości.

Skoro Vicki wraca, nie ma potrzeby dłużej zwlekać, pomyślała Rose. Doktor Fairweather wyznaczyła operację za dwa tygodnie.

Podjąwszy ostateczną decyzję, poinformowała o niej rodziców. Był to najgorszy wieczór w jej życiu, ale znalazła ukojenie, wypłakując się w ramionach mamy.

Vicki zerknęła na drzwi gabinetu Jonathana.

- Będzie mu ciebie brakowało - stwierdziła. - A może zechciałabyś mnie zastąpić, jak pójdę na urlop macierzyński?

- Czekają na mnie w Edynburgu. Chyba cię nie zastąpię, ale cię odwiedzę, jak już urodzisz. - Boże, oby to się ziściło.

- Będzie was tu brakowało. - Vicki skinieniem głowy wskazała Jenny. - Mam wrażenie, że pacjenci za nią przepadają. Ona potrafi ich rozbawić.

- To prawda. Jonathan zaproponował jej stałe zatrudnienie, bo pani Smythe Jones postanowiła emigrować do Nowej Zelandii, do siostry.

- O mammo! Myślałam, że ona nigdy nie odejdzie. Przepracowała tu czterdzieści lat, od kiedy stryj Jonathana otworzył klinikę. Nie chciała odejść na emeryturę rok temu, mimo że Jonathan ją przekonywał, że jej emerytura nie będzie niższa od aktualnych zarobków. Powiedziała, że w domu zanudzi się na śmierć. No ale u siostry brak towarzystwa nie będzie jej dokuczał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po południu tego samego dnia otrzymali wiadomość, że lord Hilton zmarł we śnie.

- Jak przyjęła to lady Hilton? - zapytała wstrząśnięta.

- Prosiła, żeby ci przekazać podziękowania za wszystko, co dla nich zrobiłaś - odparł Jonathan. - Prosiła też, żebyś wzięła udział w pogrzebie, bo Giles sobie tego życzył.

- Jasne. - Przeniosła wzrok. - Też tam będziesz?

- Oczywiście, boja zawsze jestem blisko. Nie zauważyłaś? Sophia zaprasza cię wraz z resztą gości na poczęstunek. Ma ci coś do powiedzenia.

Pogrzeb lorda Hiltona miał miejsce dwa dni później. Rose starała się nie myśleć, że niedługo podobny tłumek może się zebrać w akcie pożegnania jej samej. Odsunęła od siebie ponure myśli.

Wśród obecnych znalazł się ojciec Jonathana, który po uroczystości podszedł do Rose.

- Miło panią widzieć - rzekł na powitanie. - Czy może pani poprosić Jonathana, żebyście razem przyjechali do mnie na kolację? Chciałbym panią lepiej poznać.

Hm, jeśli coś jej się stanie, Jonathan będzie potrzebował ojca, ale czy ona potrafi naprawić stosunki między nimi? Powinna spróbować.

- Nie wiem, czy uda mi się go przekonać - odpowiedziała cicho. - Odnoszę wrażenie, że ma panu bardzo dużo za złe. - Odetchnęła głębiej, by dodać sobie odwagi. - Uważa, że nic pana nie obchodzi. Że nigdy się pan nim nie interesował.

Lord Cavendish zeszywniał, ale moment później smutno się uśmiechnął.

- Teraz już rozumiem, dlaczego mój syn stracił dla pani głowę. On się myli. Wielki Boże, nikt na tym świecie nie jest dla mnie ważniejszy. Skąd mu to przyszło do głowy?

- Może dlatego że po śmierci matki wysłał go pan do internatu? Od tamtej pory chyba rzadko bywał w domu.

Lord Cavendish przegarnął włosy palcami.

- Umieściłem go tam, bo uważałem, że tak będzie najlepiej - odparł ostrym tonem. - Często wyjeżdżałem w interesach, a bez matki... - Wzruszył ramionami. - W domu nie miał się nim kto zająć.

Kątem oka zobaczyła, że Jonathan rozmawia z lady Hilton. Zebrała się w sobie.

- Był wtedy małym dzieckiem, a pan odciął go od bliskiego mu otoczenia, które kochał, i to akurat wtedy, kiedy spotkało go największe nieszczęście. Nie przyszło panu do głowy, że on może potrzebować ojca? Choćby przez jakiś czas?

Na twarzy lorda pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Poznałem jego matkę, będąc studentem, i pokochałem ją od pierwszego wejścia. Stała się jasnym promykiem światła w moim samotnym życiu. Myślę, że podobnie jak pani w życiu Jonathana. Tak jak pani, nie była szlachetnie urodzona i moi rodzice jej nie akceptowali. To były inne czasy, ale ja nie wyobrażałem sobie przyszłości bez niej i ożeniłbym się z nią, nawet gdyby mnie wydziedziczyli.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ale do tego nie doszło. Pobraliśmy się i byliśmy bardzo szczęśliwi. Gara była malarką. Słyszałem od lady Hilton, że pani śpiewa. Zatem jesteście podobne. Pracowałem całymi dniami, a ona malowała. Myślę, że pomagało jej to lepiej znosić samotność. Kiedy urodził się Jonathan, myślałem, że już tak bardzo nie brakuje jej męża, więc coraz więcej czasu spędzałem poza domem. - Westchnął. - Tęskniłem za nią, ale myślałem, że przed nami jeszcze cała przyszłość - mówił zdławionym głosem.

Instynktownie Rose dotknęła jego ramienia, dając mu sygnał, że go rozumie.

- Ale kiedy Jonathan miał pięć lat, moja ukochana Clara umarła. Z rozpaczny byłem bliski obłądu. Co spojrzałem na syna, widziałem jego matkę. To było ponad moje siły. Musiałem rzucić się w wir pracy, ale chciałem mieć pewność, że Jonathan jest pod dobrą opieką. Tak, odesłałem go z domu i teraz tego żałuję, bo właściwie nie znam swojego rodzzonego syna. I to z własnej winy.

- Ale ożenił się pan ponownie. I to kilka razy.

- Szukałem tego, co łączyło mnie z Clara, ale daremnie. - Spojrzał jej w oczy. - Rose, czy już kiedyś kochała pani tak mocno, że ta druga osoba zdawała się być brakującą połową pani duszy?

Przygryzła wargę, by się nie rozplakać. Przytaknęła.

- To już pani wie, że tego nikt inny nie zastąpi.

- Ale ma pan cząstkę Clare. Jonathana.

- Tak, wiem. Ale chyba jest już za późno.

- Nigdy nie jest za późno. Niech pan z nim porozmawia. Zdaję sobie sprawę, że to niełatwe, ale mógłby opowiedzieć mu pan o jego matce to samo co mnie. Myślę, że by to zrozumiał.

Lord Cavendish omiół ją pełnym uznania wzrokiem.

- Rose, mam wrażenie, że pani towarzystwo zawsze będzie mi miłe - rzekł z namysłem. - Chyba powinienem porozmawiać z synem.

Pod koniec stypy lady Hilton nieoczekiwanie zaprosiła Rose do swojego apartamentu. Wsunęła szufladkę w sekreterze, wyjęła z niej kopertę i wręczyła ją Rose.

- Giles prosił, żebym ci to dała. Mimo że dopiero niedawno cię poznaliśmy, pokochaliśmy cię jak córkę.

Rose zaintrygowana zajrzała do koperty. Był tam czek na astronomiczną sumę.

- Jak to? Dlaczego? To przesada... Niepotrzebnie... - wyjąkała.

- To na twoje wesele - wyjaśniła lady Hilton. - Zauważyliśmy, że macie się ku sobie. Nie mamy córek, więc... sprawiłoby nam wielką przyjemność, gdybyś wydała to na swoje wesele.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż. Nawet o tym z Jonathanem nie rozmawialiśmy.

- Ale będziecie rozmawiać. Rose zwróciła jej kopertę.

- Przepraszam... ale nie mogę. Nie będzie wesela -wykrztusiła.

- Nie wierzysz, że on cię kocha? Czy boisz się, że się z tobą nie ożeni, bo masz spaczony pogląd na arystokrację? Kochana, jego matka była mieszczką, a mimo to jego ojciec ją poślubił.

Tego było dla Rose za wiele.

- Przepraszam, muszę już iść...

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rose zaproponowała, by wieczór, który miał być ich ostatnim wspólnym wieczorem, o czym zresztą Jonathan nie miał pojęcia, spędzili w jego domu pod Cambridge.

Jechała tam ze ściśniętym sercem, przekonana, że będzie to ostatnia noc, którą spędzi w jego objęciach.

- Najpierw wpadniemy do Mary - oświadczył Jonathan. - Już wróciła do pracy, więc chciałbym sprawdzić, czy się oszczędza.

- Jonathan! Rose! - ucieszyła się Mary, gdy weszli do kuchni. - Dziękuję, że o mnie pamiętacie. - Spojrzała podejrzliwie na Jonathana. - Jakim cudem poczułeś w Londynie, że coś piekę?

- Ojciec w domu? - Jonathan uściskał Mary.

- Owszem. I na szczęście bez tej wydry. Chyba się jej pozbył. Łaska boska, że w porę przejrzał na oczy. - Zniżyła głos. - Stale powtarza, że jest z ciebie dumny i że twoja matka też byłaby z ciebie dumna...

Uśmiechnął się zmieszany.

- Mnie też to mówi. Trochę mi zajmie, nim się oswoję z takim nowym ojcem. Skąd ta zmiana? - Rzucił Rose wymowne spojrzenie.

- Nawet nie wiesz, mój drogi, jaka to dla mnie radość, że się dogadaliście - mówiła Mary. - On cię kocha.

- Ja go też kocham. - Odchrząknął. - Mary, znajdzie się coś do jedzenia w twojej kuchni? Zaprosiłem Rose do siebie na kolację.

- Nie zjecie z ojcem? Bardzo by się ucieszył.

- Okej, będziemy mieli jeszcze mnóstwo okazji - powiedział po chwili, gdy Rose przytaknęła.

Dochodziła dziesiąta, gdy wstali od stołu i pożegnali się z gospodarzem.

Gdy znaleźli się w stróżówce Jonathana, już od drzwi zaczął ją całować, ale ona po chwili się odsunęła. Niczego bardziej nie pragnęła, jak znaleźć się z nim w łóżku, ale chciała zostawić jeszcze inne wspomnienie. Chciała zaśpiewać dla niego po raz ostatni, żeby pewnego dnia zrozumiał, dlaczego tak postąpiła.

- Usiądź i się nie ruszaj - poleciła mu, ale jej nie posłuchał. Gdy znowu ją pocałował, skapitulowała.

- Rose, kocham cię - wtulony w nią szepnął jakiś czas później. - I będę cię kochał aż po grób.

Serce jej pękało.

- O, niespodzianka. Nie miałam o tym pojęcia. - Wymknęła się z łóżka, by odwracając wzrok, się ubrać.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Nie rozumiesz? Kocham cię i proszę, żebyś została moją żoną.

- Nie chcę zostać twoją żoną. Przykro mi, ale to co było między nami... to tylko incydent. Wracam do Edynburga. Tam jest moje miejsce.

- Wracasz do Edynburga?! Nie zgadzam się! A co będzie z nami? Może mnie nie kochasz, ale na pewno coś do mnie czujesz. Wiem to.

- Bardzo mi przykro, ale nigdy nie wyjdę za kogoś takiego jak ty. Ciebie interesuje wyłącznie dobra zabawa. - Głos jej się łamał, bo wiedziała, jak bardzo go rani.

- Rose, ja się zmienię. Koniec z bankietami. Nie mówiłem ci, ale podjąłem pracę w miejscowym szpitalu i zamierzam dokończyć specjalizację. Zawsze o tym marzyłem.

- A co z kliniką stryja?

- Zatrudnię kogoś, żeby dalej ją prowadził. To ty mi pokazałaś, że moje dawne życie było pozbawione sensu.

- Nie warto, żebyś dla mnie zmieniał całe swoje życie - rzekła ze smutkiem - zwłaszcza że od jutra już mnie tu nie będzie. - Spojrzała mu prosto w twarz. Pora na łzy będzie później. Teraz musi być dla niego bezlitosna.

- Dzięki tobie dobrze się bawiłam, poznałam inny świat i jestem ci za to wdzięczna. Teraz wracam do Edynburga i nic mnie tu nie zatrzyma. Nie Kocham cię.

Patrzył na nią spode łba.

- Przez cały czas mnie oszukiwałaś? I to nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia? - Wciągnął dzinsy. - Być może na to zasłużyłem, bo nikim się nie przejmowałem. - Roześmiał się gorzko. - Jak na ironię losu nie wierzyłem, że można pokochać kogoś na zawsze, dopóki nie spotkałem ciebie. To ty mi pokazałaś, jak mój ojciec kochał matkę. Przynajmniej za to mogę być ci wdzięczny.

Zapiął koszulę, po czym sięgnął po kluczyki.

- Odwiozę cię do domu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leżała mocno oszołomiona na szpitalnym łóżku, zastanawiając się, czy są to jej ostatnie przytomne minuty.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie - szepnęła jej do ucha matka.

- Nie, mamo, decyzja już zapadła.

Wcześniej matka błagała ją, by o wszystkim opowiedziała Jonathanowi, ale odmówiła. Za to napisała słowa do piosenki, którą skomponowała z myślą o nim, i poprosiła matkę, by mu je dała, gdyby coś jej się stało. Ojciec też chciał jechać z nią do szpitala, ale lekarz mu to odradził.

- Będę tu na ciebie czekał - oznajmił, gdy odjeżdżała.

- Mamo, pamiętaj, umówiliśmy się, że jeżeli przeżyję tę operację, ale dojdzie do uszkodzenia mózgu, to mu o tym nie powiesz. Chcę, żeby zachował mnie w pamięci taką, jaka byłam.

- Ale... - matka uśmiechnęła się słabo - nic złego się nie stanie. Będzie dobrze.

Wkrótce potem zawieziono ją na blok operacyjny.

Jonathan nie mógł sobie znaleźć miejsca. Przy zdrowych zmysłach trzymali go tylko pacjenci oraz praca. Kilka razy był o krok od udania się do Edynburga, by odnaleźć Rose.

W końcu zdecydował się odwiedzić jej rodziców.

Gdy zaparkował pod ich domem, tuż za nim nadjechała taksówka. Czekał kilka minut, nim otworzył mu ojciec Rose. Tommy Taylor wyglądał marnie, a w jego oczach czaiły się smutek i strach.

- Co się stało? - zapytał Jonathan. Pan Taylor potrząsnął głową.

- Przepraszam, nie mogę z tobą rozmawiać. Czekaj na mnie taksówka.

- Gdzie jest pani Taylor? Dlaczego jej tu nie ma? Stało się coś złego... Rose? - Zagroził mu drogę.

- Jonathan, nie mam czasu. Muszę jechać do szpitala.

- Do szpitala?! - Nieszczęście. Matka Rose nie zostawiłaby ojca samego.

Tommy Taylor spojrzał mu prosto w twarz.

- Kazała nam przysiąc, że ci nie powiemy. Uważam, że nie miała racji, ale przysięgłem.

- Gdzie ona jest?

- Nie mogę powiedzieć. Jadę do szpitala, ale jak pojedziesz za nami, to ja nic na to nie poradzę, no nie?

Gdy zatrzymał się za taksówką pod oddziałem neurologicznym, był półżywy ze strachu. Mimo to różne wątki zaczęły mu się układać w jedną całość. Smutek w oczach Rose, niechęć do rozmowy o przyszłości, słowa jej piosenki.

- Rose jest tutaj, tak? - Ujął Tommy'ego pod ramię. - Żyje? Błagam, niech mi pan powie.

- Nie wiem - odparł głucho ojciec Rose. - Operują ją. Tętniak mózgu. To samo, co u mnie doprowadziło do udaru. - Głos mu się łamał. - Będziemy tu z matką siedzieć i czekać. Nie ma pewności, czy przeżyje.

- Nie ma pewności, czy przeżyje?! Oczywiście, że przeżyje. - Głos mu drżał. - Ta Rose, którą ja znam, jest waleczna.

Gdy otworzyła oczy, miała wrażenie, że śni. Albo że umarła i jest w niebie, ale jego głos upewnił ją, że jednak żyje.

- Jak się czujesz?

- Żyję?

Wsunął jej ramię pod plecy, żeby mogła wypić łyk wody.

- Operacja się udała, nawet lepiej niż chirurg oczekiwał. Wyzdrowiejesz. Na początku będziesz musiała się oszczędzać, ale potem będziesz robić, co zechcesz.

Nie była pewna, czy słuch ją nie myli. Poruszała palcami rąk, potem stóp. Mówi, widzi, rozumie...

- Znalazłeś mnie... - Czują, że powieki jej opadają.

- Witaj, córciu. - Gdy ponownie otworzyła oczy, powitał ją głos matki. Tuż obok stał ojciec. - Znowu jesteś z nami.

Gdy ojciec pochylił się, by ją pocałować, zauważyła łzy na jego policzku.

- Moje dziecko - szepnął. - Moja dziewczynka... będzie żyła długo i szczęśliwie.

Jonathan delikatnie pogładził ją po policzku.

- Teraz zaśnij, a jak się obudzisz, będę przy tobie. I już nigdy cię nie opuszczę.
- Uśmiechnął się. - Jesteś na mnie skazana.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zamiast tradycyjnego marsza weselnego orkiestra zagrała melodię, którą Rose skomponowała dla Jonathana.

W dalszym ciągu peszyła ją myśl, że w przyszłości zostanie lady Cavendish. Ale czy to ważne, będzie przecież z Jonathanem, który ją zapewnił, że to niczego nie zmieni. No, prócz tego, że on raz na zawsze skończy z bankietami, ale to żadna strata, bo spełniły się jego wszystkie marzenia. Do pełni szczęścia przydałaby się jeszcze czwórka lub piątka dzieci. Ale to... to już sama przyjemność.

Gdy stanęła przed ołtarzem, ujął jej dłoń.

- „Nie wiedz mi do tego, abym cię opuścił i od ciebie odejść miał; gdziekolwiek pójdiesz, z tobą pójdę, a gdziekolwiek mieszkać będziesz, z tobą mieszkać będę; lud twój lud mój, a Bóg twój Bóg mój” - powtórzył za pastorem, po czym delikatnie musnął ją wargami. - Zapamiętaj sobie, skarbie, żebyś już nigdy, przenigdy niczego przede mną nie ukrywała. Przysięgasz?

- Chyba żartujesz. Jesteśmy na siebie skazani. Na dobre i na złe, w dobrej i złej doli, w zdrowiu i chorobie - odparła, uśmiechając się promiennie. - Przysięgam.